BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W SOPOCIE

Uniwersytetu Gdańskiego – Biblioteka

cIV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 9 maja 1948 r. | Nr 19 (128)

PRZYZNANIE NAGRODY im. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

W dniu 25 b. m. odbyło się w Warszawie posiedzenie jury nagrody imienia poległego w Powstaniu Warszawskim młodego uczonego, krytyka i publicysty Włodzimierza Pietrzaka, celem przyznania nagród zgodnie z uchwalonymi i ogłoszonymi przez Komitet Organizacyjny zasadami. Wyróżnieni i nagrodzeni zostali więc ci pisarze, którzy w działalności swej dają wyraz swym katolickim przekonaniom, a w problematyce swych prac poruszają zagadnienia ważne z punktu widzenia aktualnych potrzeb katolickiego społeczeństwa w Polsce.

Jury nagrody w składzie:

Jan Dobraczyński, Dr Władysław J. Grabski, inż. Szczepan Jeleński, dr Juliusz Nowak-Dłużewski, ks. prof. dr Piotr Oborski, prof. dr Stanisław Pigoń, prof. dr Władysław Tatarkiewicz uchwaliło:

Z pośród licznych kandydatów do nagrody **naukowej** – nagrodzić **sumą 200.000 zł.**

profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Uniwersytetu Poznańskiego

dr Jana Czekanowskiego

za całokształt twórczości powojennej.

W dziedzinie **literatury** spośród wyróżnionych pisarzy – Wojciecha Bąka, Zbyszka Bednorza, Antoniego Gołubiewa i Wojciecha Zukrowskiego, jako autora cyklu opowiadań „Z kraju milczenia". nagrodzić sumą 150.000 zł

Hannę Malewską

ze specjalnym wyróżnieniem powieści „Kamienie wołać będą".

W dziedzinie publicystyki spośród wyróżnionych publicystów Jerzego Brauna, Wojciecha Kętrzyńskiego, Walentego Majdańskiego, Eugeniusza Paukszty i ks. Jana Piwowarczyka nagrodzić **sumą 150.000 zł.**

Pawła Jasienicę

Ze specjalnym wyróżnieniem cyklu artykułów o Ziemiach Odzyskanych, opublikowanego w tygodniku Powszechnym.

Całość powyższej nagrody **w sumie 500.000 zł.** została ufundowana przez zespół redakcyjny katolickiego tygodnika społecznego „Dziś i Jutro" w Warszawie.

Uroczyste wręczenie nagrody odbędzie się w Warszawie w dniu 9 maja b.r.

Z prawziwą radością przywitaliśmy przyznanie nagrody im Włodzimierza Pietrzaka.

Mamy nadzieję, że ten **fakt przysłuży się** do umocnienia w społeczeństwie naszym jeszcze bardziej konkretnego i aktywnego stosunku do sprawy katolickiego piśmiennictwa w Polsce. Kultura nie powstaje z niczego, zwłaszcza w czasach obecnych powstaje drogą świadomego wkładu wysiłków całego społeczeństwa. W Polsce tak przedwojennej, jak i obecnej brakowało zwłaszcza świadomości, iż należyty rozwój piśmiennictwa katolickiego uzależniony jest niezmiernie silnie od zapewnienia pisarzom podstaw materialnych nie tylko egzystencji, lecz i twórczości. Obok tego zagadnienia istniało jeszcze drugie, zbyt często rozumiane niewłaściwie — to mianowicie, iż twórczość kulturalna tylko wówczas rozwija się prawidłowo, gdy żyje w stałym kontakcie ze swoją społeczeństwem, z jej potrzebami i zainteresowaniami. Pisarze polscy, a zwłaszcza pisarze katoliccy działali przeważnie w próżni.

Świadomi niepokoju, który targał umysłem i sercem młodego pisarza i krytyka Włodzimierza Pietrzaka, który całą swą pasję pisarską właśnie poświęcił przybliżeniu naszej twórczości kulturalnej do życia, tak osobowego, jak i społecznego — jego imieniem ochrzciliśmy nagrodę, której zadaniem było tej sprawie służyć.

Mamy nadzieję i przekonanie, że za tą pierwszą inicjatywą pójdą następne, w wyniku czego pisarz katolicki w Polsce będzie miał poczucie, iż społeczeństwo nie tylko się jego twórczością interesuje i jest gotowe przyjść mu z materialną pomocą, lecz także, że przy pomocy wykwalifikowanych krytyków potrafi dzieła ocenić i wskazać właściwą drogę artystyczną i ideową.

My w naszej pracy ustawać nie będziemy. Dzień zakończenia pracy nad tegoroczną nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka będzie dniem rozpoczęcia pracy nad następną, bo tylko ciągłość wysiłków gwarantuje ich owocność. Wierzymy jednak, iż w następnym okresie nie będziemy osamotnieni, że rozwiną się następne podobne inicjatywy, które pozwolą nadać tej akcji należyte rozmiary. Ambicją naszą nie jest bowiem rozdzielanie nagród „akademickich", uwieńczanie twórczości może najwyższej klasy, lecz i najbardziej utrwalonej. Naszą ambicją jest wyróżniać i zachęcać twórczość młodą, ambitną, a już wartościową, mocującą się dopiero z trudnościami zdobycia sobie autorytetu i poparcia.

Ufundowanie i wprowadzenie w życie pierwszej w Polsce nagrody za twórczość o katolickim podłożu światopoglądowym kosztowała nas pełne dwa lata pracy. Był to okres stałej walki o właściwe zrozumienie

wagi takiej inicjatywy, o wyeliminowanie z kręgu jej zagadnień nadmiernego balastu politycznych rozdźwięków. Walka o środki materialne, zdobywane z takim trudem w społeczeństwie, które nie docenia wagi wkładu materialnego w nasze piśmiennictwo.

Było naszym zamiarem zainicjować akcję, w której wzięłyby wspólnie udział ważniejsze środowiska katolickie czynne na polu kulturalnym. Gdy przekonaliśmy się, że akcja taka, o ile byłaby możliwa — opóźniłaby jeszcze na pewno termin rozdziału nagrody na dobrych szereg miesięcy, zdecydowaliśmy się, po pokonaniu trudności zewnętrznych i technicznych, przystąpić samodzielnie do dzieła. Czekała nas trudna praca. Przede wszystkim zagadnienie konieczności zdefiniowania pojęcia „pisarz katolicki", następnie ustalenie szczegółowego zakresu nagradzanych prac, podziału przeznaczonej kwoty, wreszcie ustalenie regulaminu i powołanie kompetentnego i autorytatywnego jury.

Niech nam będzie wolno w tym miejscu podziękować imieniem całego zespołu „Dziś i Jutro" tym, którzy pomogli nam w dokonaniu tej pionierskiej roboty: dr. Janowi W. Grabskiemu, ks. prof. Piotrowi Oborskiemu i p. Aleksandrowi Rymkiewiczowi.

Obok tych nazwisk z równą wdzięcznością wspominamy tych, którzy przyłączyli się następnie do prac jury — dyr. Szczepana Jeleńskiego, prof. Stanisława Pigonia i prof. Władysława Tatarkiewicza. Dzięki temu zespołowi ludzi światłych i głęboko rozumiejących współczesną problematykę kulturalną katolicką, nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka stała się nie tylko wydarzeniem kulturalnym, lecz i osiągnięciem teoretycznym ułatwiającym przyszłe prace w tej dziedzinie.

Mamy pełną świadomość, że wyrok jury, jakkolwiek rzetelny i przemyślany, jest może dla wielu krzywdzący. Odrobienie powstałych zaległości wymagałoby nie trzech, ale kilkunastu nagród. Szczupłe ramy spowodowały, że pominięci zostali nie tylko ci młodzi, którzy debiutowali po wojnie (poza dziedziną publicystyki), lecz także niektórzy zasłużeni pisarze przedwojenni. Wierzymy, że zrozumieją trudności na jakie napotykała praca jury.

Nagrodzonych przedstawiać nie potrzebujemy. Nazwiska ich, tak jak ich prace, mówią same za siebie. Cieszy nas jednak specjalnie, iż główna nagroda, za pracę naukową, przyznana została nie tylko wybitnemu uczonemu, członkowi Akademii Umiejętności i wielu światowej sławy zagranicznych stowarzyszeń naukowych, profesorowi Janowi Czekanowskiemu, ale i czynnemu działaczowi naukowemu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, byłemu rektorowi tej uczelni. Hołd nasz dla niestrudzonej działalności wybitnego uczonego łączy się w ten sposób z hołdem dla tej instytucji, która podjęła się niezwykle trudnego zadania czynnego kształtowania nauki katolickiej w Polsce.

Hanna Malewska, pierwsza kobieta nagrodzona w Polsce powojennej za twórczość literacką, autorka dwóch powojennych powieści, wybitna publicystka, czynna działaczka katolicka i współredaktorka „Znaku" — może być słusznie dla swej postawy uważana za wzór postępowego i pełnowartościowego działacza kultury katolickiej. Dziś, gdy się tyle mówi o wysunięciu kobiety na należne jej miejsce w życiu społecznym i kulturalnym, cieszy nas specjalnie fakt, iż za swe zasługi pisarskie — właśnie strona katolicka pierwsza wyróżniła kobietę.

Paweł Jasienica, którego pierwsze prace powojenne ukazały się już dawno na łamach „Dziś i Jutro", zdobył sobie uznanie jury wyróżnionym nad wszystkie inne, zawsze wybitne prace publicystyczne, cyklem artykułów omawiających dogłębnie i z wielkim znawstwem zagadnienia Ziem Zachodnich i związanych z nimi przeobrażeń społecznych i psychicznych w Polsce. Niech będzie to jeszcze jednym dowodem, jak dalece społeczeństwo katolickie docenia wagę tych problemów, niech będzie zachętą i bodźcem dla wszystkich publicystów, by z niemniejszym od Jasienicy znawstwem atakowali właśnie konkretne, dzisiejsze problemy.

Możemy śmiało stwierdzić, zamykając na razie ogólnie i powierzchownie wrażenia po zapoznaniu się z decyzją jury, że pierwsza nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka przyznana została pod znakiem problematyki Ziem Odzyskanych. Zarówno prof. Jan Czekanowski, czynny członek Rady Naukowej dla Ziem Odzyskanych, badacz zachodniej Słowiańszczyzny, nie zaś tylko antropolog, którego koncepcje bronią podstawowych poglądów katolickich w tej dziedzinie, jak i Hanna Malewska, która swą tematyką sięga do średniowiecza, skąd najlepsze tradycje dziś czerpiemy w naszej walce o polskość Ziem Zachodnich, jak i Paweł Jasienica są charakterem swej twórczości ściśle związani z tymi problemami, które stanowią dziś niewątpliwie oś zainteresowań wszystkich Polaków, a zwłaszcza katolików.

Zygmunt Jakimiak

Ilustracje naukowe tez ks. Jakubisiaka

Jedna z najważniejszych tez ontologicznych ks. Jakubisiaka głosi, że liczba jest istotą rzeczy i jej granicami. Odpowiednia teza epistemologiczna twierdzi, że umysł ludzki poznaje byt, chwytając jego istotę i granice w konkrecie. Tym tylko można wyjaśnić np. to, że umysł najpierw rozróżnia, a potem uogólnia, najpierw spostrzega różnice, a potem podobieństwa między rzeczami, że w ogóle odróżnia jednostki, to wreszcie jest przyczyną pochodzenia prawa identyczności i pozostałych tzw. pierwszych praw w logice.

Jakkolwiek te twierdzenia są ścisłe, ich ogólny charakter i nowość czyni je trudno dostępnymi rozumieniu zwykłego, a nawet oswojonego z filozoficzną terminologią czytelnika. Opierając się tylko na nich można oskarżyć np. Jakubisiaka i jego zwolenników o mistyczny pitagoreizm, o pokrewieństwo z ezoteryką, z kabałą itp. Nic łatwiejszego jak mylnie interpretować a następnie zwalczać twierdzenia ogólne. Toteż spieszę wyjaśnić bliżej te twierdzenia na szczegółowych wypadkach najnowszych osiągnięć nauki. Osiągnięcia te, będą doskonałą ilustracją doktryny o istocie rzeczy i granicach. Taki sposób wykładu leży zresztą w metodzie ks. Jakubisiaka, który za konkret uznaje tylko dane nauki i który wszędzie powołuje się na najnowsze zdobycze fizyki, biologii, matematyki, chemii itp.

Dużo światła na to zagadnienie mogą rzucić Jeans i Eddington, którzy piszą, że fizyka, przerzuciwszy materię, dostawszy się na jej dno, nie znalazła nic namacalnego, nic stałego i trwałego, oprócz myśli, a raczej jej dzieła, to jest planu: planu rzeczy, planu świata. Ten pomysł, koncepcja, kompozycja elementów, w każdym wypadku różna dzięki różnej proporcji, jest właśnie naszą istotą rzeczy i jej granicami. Istota jest wewnętrzną budową rzeczy, a granice jej kształtem zewnętrznym, logicznie wynikającym ze struktury. Proporcja zaś, czyli stosunek jest niczym innym tylko liczbą, wielokrotnością elementu. Tak rozumiem naukę Jakubisiaka o istocie rzeczy i granicach. I w każdej nauce zdobyczą istotną jest prawo lub tendencja, dające się wyrazić ścisłym, matematycznym wzorem. Prawo takie stwierdza właśnie i poucza o istotnych stosunkach badanych rzeczy. Prawo jest wynikiem poznawania przez umysł istoty i granic rzeczy. Nic trwalszego nad to nauka wykryć nie mogła. Na tym właśnie, na dziele myśli twórczej, na istocie rzeczy opiera się, jak na szkielecie, cały wszechświat.

I to jednak jeszcze jest zbyt ogólne i — jako takie — nie może przemówić do wyobraźni czytelnika. Weźmy więc przykłady z chemii, szczególnie z jej ważnej gałęzi nauki o odporności. Jednym z najżywotniejszych pytań tej nauki było: na czym polegają reakcje chemiczne? W jaki sposób działa np. kwas, gdy roztwarza metale, albo zobojętnia ług tworząc z nim sól? Dzięki czemu działają zaczyny wywołując fermentacje kwaśne, gnilne itp.? Jaki jest mechanizm działania witamin, hormonów? Jaka jest technika napadu bakterii, działania toksyn? Jakim cudownym sposobem jeden organizm jest odporny np. na gruźlicę, czy cholerę, gdy drugi momentalnie ginie od tej choroby. Na czym polega odporność? Pasteur na te pytania nie odpowiedział. On tylko poomacku trafił na sposób pomagania organizmowi we wzmaganiu jego odporności, dając początek ciekawej nauce o immunizacji. Wielki rozwój tej nauki jeszcze mocniej tylko powtórzył pytanie: jak działają antytoksyny, czyli przeciwciała, co się dzieje w organiźmie po wstrzyknięciu surowicy, zawierającej same tylko toksyny, lub kultury, zawierającej osłabione bakterie?

Na pytania te, jak się zdaje, nauka odpowiedziała dopiero niedawno. Odpowiedź zaś jest bardzo prosta. Sformułował ją słynny chemik, laureat nagrody Nobla, Emil Fischer. Dla ilustracji dał on następujące porównanie. Jeśli mamy przed sobą zamknięte drzwi, to możemy otworzyć je tylko jednym kluczem. Czynnikiem decydującym jest tu **kształt** klucza, najściślej pasujący do kształtu zamka. Jeśli klucz będzie miał choć odrobinę inny kształt, już nie będzie on w stanie otworzyć zamka. Tak Fischer stworzył swą „teorię kształtu", która twierdzi, że czynnikiem istotnym we wszelkich reakcjach chemii nieorganicznej, fizjologicznej i w biochemii jest kształt, wewnętrzna budowa elementów działających.

Ażeby to lepiej zrozumieć, przypomnijmy sobie pewne podstawowe wiadomości szkolne. Do niedawna jeszcze podstawą chemii była tablica Mendelejewa, szeregująca pierwiastki według ciężarów atomowych. Najdrobniejszą cząstką materii był „nierozkładalny" atom pierwiastka. Dziś przecież atom jest rozłożony, pierwiastki przechodzą jedne w drugie, powstała nowa gałąź nauki o elementach atomu. Atom, daleki od godności elementu materii, sam jest przypadkowym, powstałym na zasadzie działania praw prawdopodobieństwa (jak mówią fizycy), skomplikowanym i niejasnym tworem. Jakkolwiek jednak jest on punktem szczytowym działalności mikrokosmosu, to w dalszym ciągu jest on elementem materii, tworzącej namacalną rzeczywistość — makrokosmos. W dalszym ciągu tworzy on ciała, zwane po staremu dla wygody pierwiastkami. Te jednak występują rzadko w stanie czystym. Na ogół w świecie spotykamy związki chemiczne, to jest rozmaite połączenia pierwiastków, różniące się bardzo naturą, to jest własnościami na zewnątrz, a wewnątrz — ilością atomów. Otóż podstawą wszelkiej materii, wszelkiego związku chemicznego, jest drobina. Stanowi ona element, cegiełkę każdej znanej odmiany materii. Różnorodność tych odmian zależy właśnie od tego, z jakich, i z ilu atomów składa się drobina.

Fakt, że nie tylko jakość i ilość atomów decyduje o drobinie, ale jeszcze i sposób ich połączenia, czyli struktura, wewnętrzna budowa, był znany w chemii organicznej jeszcze przed Fischerem. Cukry, spotykane w przyrodzie, złożone z tych samych i tej samej ilości atomów, a okazujące inne własności, naprowadziły chemików na tę myśl. Od dawna już wzory strukturalne stały się ważniejsze od sumarycznych. Badania nad architekturą drobinową, geometrią, spojeniami atomów w cząsteczkach, były dość daleko posunięte. Dzięki temu chemicy mogli dokonać wspaniałych dzieł: syntetycznych duplikatów naturalnych specyfików. Dopiero jednak teoria Fischera położyła specjalny nacisk na budowę drobin i, stworzywszy całą szkołę entuzjastów, skierowała główny wysiłek chemików w kierunku właśnie wyśledzenia i ewentualnego odtworzenia kształtów drobin.

Szkoła ta ma już dowody słuszności teorii kształtu, którym nic nie może zaprzeczyć. Linus Pauling z Kalifornijskiego Instytutu Technologii, jeden z przywódców tej szkoły, daje przykład kamfory. Jest to związek chemiczny o silnym, przenikliwym, specyficznym zapachu. Budowa jego drobiny, rozmieszczanie jej atomów w przestrzeni, sposób ich połączenia są doskonale chemikom znane, tak, że kształt jej można narysować na papierze. Otóż chemicy zbudowali drobinę z innych atomów, ale o tym samym kształcie. I cóż się okazało? Nowa syntetyczna substancja miała ten sam przenikliwy, silny, charakterystyczny zapach, co kamfora, wyciągnięta z kory drzewa kamforowego. Tego faktu nie można inaczej pojmować, tylko tak, że materiał budowlany, jakość atomów jest mało ważna w drobinie, jeśli idzie o jej własności, a że czynnikiem istotnym jest kształt, w jaki one są ułożone, budowa, plan, pomysł, koncepcja.

Inny przykład. Profesor Tarbell z uniwersytetu w Rochester wykazał, że lekkie zniekształcenie tylko pewnej części drobiny witaminy K spowodowało zaprzestanie jej czynności — regulowania krzepnięcia krwi. Dowodzi to ponad wszelką wątpliwość, że fizjologiczna właściwość i użyteczność tej witaminy wywołana jest jej kształtem tylko, a nie jakością atomów, tworzących ją.

Odkrycia te, acz doniosłe w skutki, nie wydadzą nam się tak bardzo zadziwiające, gdy je zestawimy z codziennym, grubym doświadczeniem zmysłów. Raczej zdziwimy się, że tak późno o tym pomyślano. Każda rzecz, narzędzie, działa swym kształtem głównie, a nie materiałem. Nie tak to dawne czasy, gdy ziemię kopano drewnianymi szpadlami, orano drewnianą sochą. Domy buduje się z każdego materiału, nawet z papieru. Igła, nóż, były kiedyś kamienne, kościane, brązowe... Itp. Itd. Cokolwiek używamy, może być wykonane z każdego materiału. Ważny jest przede wszystkim kształt, czyli pomysł twórczej myśli w jaki sposób i do jakiego celu uformować materiał.

Ta prosta, codzienna prawda, oddaje olbrzymie usługi w przemyśle chemicznym przy wytwórczości syntetycznych duplikatów substancyj naturalnych, jak kauczuku, perfum itp. Nie mniejszych korzyści możemy się spodziewać i już zresztą niemałośmy osiągnęli w zwalczaniu chorób drogą zwiększania odporności organizmu. Wiadomo, jaki przewrót wywołały szczepionki. Teraz rozumiemy, na czym polega ich działanie. Pobudzają one organizm do wytwarzania przeciwciał — antytoksyn, których kształt jest zwierciadlanym odbiciem kształtu napastujących toksyn. Walka między nimi wygląda np. jak splecione palce dwóch rąk, lub widły założone na widły w taki sposób, że ząb trafia między ząb drugich wideł. Kształt przeciwciał obezwładnia, oblepia, paraliżuje aktywność kształtu napastującego.

Przed chemią, fizjologią, a szczególnie nauką o odporności (immunizacji) stoi dziś doniosłe, choć wykonalne i proste w założeniu zadanie: wykryć specyficzne kształty drobin ważniejszych substancyj działających w świecie martwym i w organizmach żywych (witamin, hormonów, barwników utleniających, toksyn, wirusów itp.), a następnie zbudować sztucznie ich duplikaty, które zastąpią w razie potrzeby działanie pożyteczne, a zobojętnią szkodliwe.

Mam nadzieję, że filozoficzna teza oryginałów ks. Jakubisiaka o istocie i granicach rzeczy została dostatecznie jasno przedstawiona i zilustrowana. Widzimy, że jest to temat o twórczości artystycznej. Wszelki plastyk, wszelki artysta tworzy właśnie umysłem najpierw plan, czyli istotę dzieła, a potem je realizuje używając takiego, czy innego materiału. Wszelkie zresztą ludzkie dzieło jest tworem ukształtowanym wolą i myślą. Ale i każda rzecz na świecie pod tym względem jest dziełem sztuki, z tą różnicą, że ludzie mają gotowy materiał do obróbki, gdy Twórca świata ukształtował rzeczy z niczego.

ś. p.

EDWARD KRYNICKI

inżynier technolog em. wizytator szkół średnich
Zmarł w wieku lat 69 współpracownik pisma „DZIŚ i JUTRO"
dnia 6 kwietnia 1948 r. w Warszawie

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Bolesław Piasecki

O D P O W I E D Z [VII)]

Doświadczając istnienia naszego „ja", stwierdzamy jednocześnie, że każdy z nas jest bytem osobnym, oddzielonym własną strukturą od całego świata. Podstawowy podział treści naszych przeżyć koncentruje się koło dwóch zasadniczych biegunów: jednym z nich jest nasze „ja", drugim — wszystko, co nie jest naszym „ja".

Spostrzeżenie to ma znaczenie zasadnicze. Każdy człowiek żyje w proporcji: on, a wszyscy inni i wszystko inne. Proporcja ta jest dla każdego człowieka inna i w ciągu życia tego człowieka ulega zmianom. Zależy ona od treści przeżyć danego człowieka — przeżyć dotyczących jego samego i przeżyć odnoszących się do wszystkiego poza nim samym.

Każdy jednak człowiek musi się ustawić w proporcji do świata osobowego i nieosobowego istniejącego poza nim. Mus ten wynika po prostu z tego, że inne osoby i świat cały istnieją w jakimś zakresie w świadomości każdego człowieka.

Istnieją dwa zasadnicze przeżycia ludzkie towarzyszące poszukiwaniu proporcji między istnieniem własnego „ja" a istnieniem wszystkich innych i wszystkiego innego.

Przeżycie własnej samotności jest charakterystyczne dla człowieka.

Ludzie komunikując się z sobą opowiadają o własnych przeżyciach, tak, jakby tłumaczyli je na obcy język. Każdy człowiek rozmawia z sobą w sposób jedyny i własny. Możliwość zrozumienia nas przez kogokolwiek zależy w dużym stopniu od zdolności przekładu własnych przeżyć na język przyjęty w danym środowisku.

Przeżycie szczęścia czy cierpienia jest wynikiem stosowania przez danego człowieka posiadanych przez niego probierzy wartości. W posiadanych probierzach wartości występują wyraziście indywidualne rysy danej jednostki. Każdy człowiek cierpi lub jest szczęśliwy w sposób odmienny od innych ludzi. Dlatego to, wielkie szczęście albo wielkie cierpienie osamatnia człowieka. Podzielenie się z innymi ludźmi swym wielkim szczęściem, czy też wytłumaczenie ogromu własnego cierpienia jest jedną z najtrudniejszych rzeczy.

Przekazanie własnych przeżyć innym ludziom wymaga wysiłku. Wysiłek jest też niezbędny dla zrozumienia cudzych przeżyć. Przy największych jednak tego rodzaju wysiłkach niepowtarzalna odrębność każdego indywiduum sprawia, że nie jesteśmy w stanie przekazać całej treści naszego przeżycia ani przyjąć pełnej treści cudzego przeżycia. Stąd wynika uzasadnienie przeżycia samotności człowieka w stosunku do innych ludzi.

Klasyczne przeżycie samotności człowieka występuje wobec konieczności interweniującej w jego los. Każda konieczność bez względu na to, czy jest przewidywana jak śmierć, czy nie do przewidzenia jak nieznane czyni człowieka samotnym w zetknięciu się ze światem ponad ludzkim czy pozaludzkim. Tak jak przeżycie własnej samotności jest znamienne dla człowieka, tak samo charakterystyczne dla niego jest przeżycie zjednoczenia.

Rozwinąć w sobie wszystko, co jest wspólne z innymi ludźmi. Odczuwać wspólnie, rozumieć to samo, chcieć tego samego. Stosowanie tych założeń jest wyrazem dążenia do rozpłynięcia psychicznego w innych ludziach, do uzyskania przeżycia zjednoczenia z drugim człowiekiem, środowiskiem, narodem.

Istnieje także tendencja do zjednoczenia się z naturą. W wyniku jej ludzie przyjmują takie wyjaśnienie świata, które potęguje współmierność zasad rządzących przyrodą z naturą ludzką. Następuje wtedy zbliżenie człowieka do przyrody, które budzi poczucie kosmicznej jedności.

Najpowszechniej wreszcie znana jest potęga zjednoczenia religijnego i mistycznego ze światem ponadludzkim, czy z Bogiem samym.

Człowiek poszukując proporcji między własnym istnieniem, a istnieniem osób i rzeczy poza nim oscyluje między przeżyciem samotności a przeżyciem zjednoczenia. Sposób przeżywania samotności i zjednoczenia oceniamy według stosowanych przez nas kryteriów wartości. Niezależnie jednak od tego jak ta ocena wypada, istotne jest stwierdzić, że indywidualna odrębność naszego „ja" jest źródłem ruchu naszych przeżyć na drodze od samotności do zjednoczenia. Ograniczoność ludzka, błędy powodują, że ruch ten często bywa szamotaniem się, że cechują go fale powrotne i wsteczne. Nie każde zjednoczenie daje nam wyzwolenie i ukojenie od samotności, dlatego też często do niej z goryczą wracamy.

Konfrontacja przeżycia samotności z przeżyciem zjednoczenia doprowadza do zagadnienia podziału przeżyć na samoistne i jednoczące. Zaznaczyć tu należy, że podział ten jest klasyfikowaniem przeżyć jednostki. Zbiorowość o tyle tylko coś przeżywa, o ile daną treść przeżywają poszczególni ludzie. O ile jednostki tworzące daną zbiorowość nie przeżywają niczego ,zbiorowość nie ma przeżyć w ogóle.

Przeżyciem samoistnym jest takie przeżycie, którego treść wypełnia w pierwszym rzędzie jednostka. Znamy jedno takie przeżycie w formie klasycznej. Stanowi je — „ja jestem".

Przeżyciem jednoczącym jest takie przeżycie, które treść swą czerpie przede wszystkim z osób i rzeczy istniejących poza danym człowiekiem. Pełnia przeżycia jednoczącego występuje w wypadkach oddania się innym osobom czy rzeczom. Dla ateistów jest to oddanie się idei, dla deistów Bogu.

Podział na przeżycia samoistne i jednoczące jest istotny, ale posiada charakter elastyczny. Zależnie od posiadanych kryteriów wartości i konsekwencji w ich stosowaniu ludzie starają się zawładnąć dla przeżyć samoistnych treściami najbardziej jednoczącymi, bądź odwrotnie: wyzbywają się przeżyć samoistnych w dążeniu do oddania się przeżyciom jednoczącym. Ludzie często chcą żyć treścią cudzych przeżyć bez zadania sobie trudu uczynienia ich własnymi. Na odwrót ludzie z zapałem decydują się oddać czemuś nie zastanowiwszy się, co mają do oddania.

Konieczność ustawienia się w proporcji „ja" — a wszyscy inni i wszystko inne podkreśla jednocześnie zależność i niezależność jednostki. Zależność wynika z samego faktu konieczności umieszczenia się w proporcji do innych osób i rzeczy. Niezależność człowieka płynie z możności wyboru, sposobu ustawienia się w tej proporcji.

Przeżycia jednoczące powstają w związku z faktem zależności człowieka od rzeczywistości ludzkiej i pozaludzkiej. Przeżycia samoistne wynikają z możliwości zajęcia różnego stanowiska wobec rzeczywistości. Przekonanie człowieka o jego zależności od innych osób i rzeczy opiera się na przyjętym przez tego człowieka sposobie wyjaśniania świata. Wraz ze zmianą tego sposobu zmienia jednostka treść swojego przeświadczenia o własnej zależności. Problem własnej niezależności rozwiązuje człowiek w ramach wyznawanego i stosowanego systemu normatywnego, systemu powinności. Treść systemu normatywnego jest funkcją treści stosowanych przez danego człowieka kryteriów wartości.

System wyjaśniający świat stanowi w przeżyciach ludzkich podstawę do konstruowania systemu normatywnego. Stąd współzależność tych dwóch systemów. Stąd też współzależność przeżyć samoistnych i jednoczących. Intensywność i głębia jednych wpływa na poziom drugich.

W rozważaniach poprzednich poddane zostały analizie przede wszystkim samoistne przeżycia człowieka. Obecnie należy przystąpić do przeżyć jednoczących.

List Ojca Św. Piusa XII
do Episkopatu Niemiec

W końcu ubiegłego roku Episkopat niemiecki złożył Ojcu Świętemu życzenia, w związku ze Świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem oraz zapewnienie nierozerwalnej łączności Kościoła w Niemczech ze Stolicą Apostolską. Przypuszczamy, że uczynił także pewne sugestie polityczne.

Odpowiadając, Pius XII skierował do Kardynałów, arcybiskupów i biskupów niemieckich osobisty list, datowany 1 marca 1948 r. w Rzymie.

Wychodzący w amerykańskiej strefie Berlina, katolicki tygodnik „Petrusblatt" (Katolisches Kirchenblatt für das Bistum, Berlin) z dn. 18 kwietnia br. (Nr. 16) podaje list ten in extenso.

List omawia dzisiejszą nędzę narodu niemieckiego, zagadnienia uchodźców ze Wschodu, „radość wiary i wierność wierze katolików ze Wschodnich Niemiec" i wreszcie konieczność dalszego rozwoju życia religijnego.

List pozostawia Episkopatowi niemieckiemu swobodę zapoznania wiernych z jego treścią. Ojciec Święty wyraźnie mówi:

> „Pozostawiamy Waszej (Episkopatu Niemiec) mądrej ocenie sposób w jaki Nasze słowa chcecie podać do wiadomości chrześcijańskiego narodu i ludu, który w niezmierzonych próbach i cierpieniach naszych czasów ma podwójny tytuł do tego, aby wiedział, że serce i pasterska Opieka Namiestnika Chrystusa są mu bliskie".

Przechodząc do zagadnienia uchodźców niemieckich z Ziem Odzyskanych list porusza problem szczególnie interesujący Polaków:

> „Na szczególne względy będą zawsze zasługiwać uchodźcy ze Wschodu, którzy ze swej ojczyzny na Wschodzie przymusowo i z wywłaszczeniem bez odszkodowania usunięci i do niemieckich stref przeprowadzeni zostali. Kiedy do nich mówimy, to nie zajmuje nas tak dalece punkt prawny, gospodarczy i polityczny, tego nie bywałego w historii dziejów Europy wydarzenia. O tych punktach widzenia rozsądzi historia i obawiamy się, że rozsądzi surowo. Wydaje się Nam, że wiemy co się działo podczas wojny na wielkich obszarach między Wisłą a Wołgą. Czy jednak było wolno 12 milionów ludzi z domów swych wypędzić i nędzy oddać, czy ofiarami tego odwetu nie są w przeważającej większości ludzie, którzy w wypadkach i złych czynach udziału nie brali i nie mieli na nie wpływu. I czy te posunięcia były politycznie rozsądne i gospodarczo odpowiedzialne, kiedy się myśli o potrzebach narodu niemieckiego, a co za tym idzie o dobrobycie **całej Europy? Czy jest się dalekim od prawdy, gdy się pragnie i ma nadzieję, że wszyscy zainteresowani mogą się spokojnie porozumieć i to, co się stało odrobić, o ile się da jeszcze odrobić".**

Potem następuje wspomnienie Ojca Świętego, wówczas nuncjusza w Niemczech, kardynała Pacellego, z pobytu we Wrocławiu:

> „W czasach kiedy działaliśmy w waszej ojczyźnie mieliśmy sposobność poznać wiarę katolików we Wschodnich Niemczech. Jest w Nas żywe jeszcze wspomnienie pobytu we Wrocławiu w r. 1926 i dumę wzbudzający przegląd niemieckiego katolicyzmu, który w rzeczy samej był przeglądem katolicyzmu we Wschodnich Niemczech, silny wyraz katolickiej myśli i oddanie Kościołowi i Papieżowi, jak to wyraziliśmy wtedy szlachetnemu Kardynałowi Bertramowi. Tylko z bólem możemy teraz ten dzień wspominać w świetle strasznych wypadków, które potem ludność Wschodnich Niemiec nawiedziły".

———:□:———

Ustępy listu dotyczące trwałości naszych granic zachodnich leżą bez wątpienia w zakresie aktualnych problemów narodowo - historycznych.

Sobór watykański (1896 — 1870) ogłosił dogmat o nieomylności Papieża w rzeczach wiary i moralności. Papież jest wtedy nieomylny, gdy „ex catedra" komentuje złożony w Kościele depozyt prawd objawionych i wynikających z nauki katolickiej. Wszystkie inne poglądy Stolicy Apostolskiej nie są kwestią dogmatu, dlatego uważamy za możliwe zajęcie stanowiska wobec treści niektórych ustępów listu Ojca św. Piusa XII z punktu widzenia niezmiennych interesów polskich związanych z Ziemiami Odzyskanymi.

Przestrzegamy jednak przeciwników Kościoła przed złudzeniem, aby jakiekolwiek różnice w rzeczach doczesnych mogły w czymkolwiek osłabić totalne posłuszeństwo religijne każdego katolika wobec Zastępcy Chrystusa na ziemi.

Problem, który rozważamy nie jest zresztą nowy. Jan Zamoyski, głęboki i oświecony katolik, który zdobył się na odważny czyn zmiany wyznania kalwińskiego z powodu wewnętrznego przekonania o prawdziwości nauki katolickiej, a na starość nosił się z zamiarem wstąpienia do klasztoru — całe życie bezwzględnie przeciwstawiał się prohabsburskim sympatiom Stolicy Apostolskiej.

Przywódcy katolickiego centrum w Niemczech (Ludwig Windthorst) otrzymawszy niezgodne z ich poglądami zalecenia Leona XIII w sprawie głosowania w parlamencie nie mogli się do nich zastosować. Stolica Święta stanowisko to uznała, bo **nie zmieniało ono w niczym prawdziwie katolickiej postawy i wierności Ojcu Świętemu w rzeczach wiary i moralności.**

Wszyscy katolicy pragną gorąco, aby ziściły się życzenia Ojca Świętego Piusa XII głębokiego rozwoju wiary i etyki katolickiej w narodzie niemieckim. Nigdy jako naród nie byliśmy głosicielami nienawiści. Świadomi jesteśmy, że przymusowe przesiedlanie ludności samo w sobie jest złem. Ale musimy się sprzeciwić jakimkolwiek wysuwanym obecnie propozycjom rewizji naszych granic zachodnich. Ziemie Zachodnie wróciły do Polski jako akt dziejowej sprawiedliwości i **stanowią jedyną gwarancję dla Polaków, że zbrodnie niemieckie się nie powtórzą.**

Chcąc uniknąć patosu nie będziemy przypominali, jak wyglądały zbrodnie niemieckie nie tylko na terenach między Wisłą i Wołgą, ale i Wisłą a Odrą.

Stanowisko nasze nie ma nic wspólnego z szowinizmem. Wysoko cenimy katolicyzm niemiecki. Osiągnięcia myśli katolickiej niemieckiej pozostawać będą dla nas w wielu dziedzinach wzorem stwarzając tym samym szlachetny doping dla naszego kleru i świeckich działaczy. Wiemy, że dla niektórych Niemców-katolików. okres hitleryzmu był straszliwym dramatem. Ale całe nasze współczucie dla nich nie może w niczym wpływać na nasze stanowisko polityczne, dyktowane wyłącznie poczuciem odpowiedzialności za przyszły los tej części Europy.

Omawiając sprawę listu Ojca św. trzeba położyć nacisk na jeszcze jeden fakt. Przecież to właśnie Pius XII, nie czekając na podpisanie pokoju, w trybie szybkim mianował Administratorów Apostolskich na Ziemiach Odzyskanych, uznając tym samym de facto przynależność tych Ziem do Polski.

Aktywność polityczna Niemców na zachodzie Europy, zalewanie Stolicy Apostolskiej informacjami tendencyjnymi, pochodzącymi ze źródeł niemieckich daje swoje skutki. W wyścigu dajemy się wyprzedzać. Trzeba jeszcze staranniej, jeszcze głębiej informować Stolicę Apostolską o nierozerwalnym związku katolicyzmu i narodu polskiego z Ziemiami Odzyskanymi. Postawa taka niewątpliwie będzie owocna. Nieznany nam jest np. fakt, aby kiedykolwiek Episkopat i katolicy francuscy nie obronili interesów Francji przeciwko niekorzystnym dla swego narodu sugestiom Stolicy Apostolskiej.

———:□:———

Stawiamy sprawę jasno, za rzecz najważniejszą uważamy uaktywnienie kontaktu informacyjnego z Rzymem i coraz intensywniejszą pracę katolików nad umacnianiem polskości Ziem Odzyskanych.

PRZEGLĄD FRANCUSKI

DEKLARACJA KARDYNAŁÓW I ARCYBISKUPÓW W SPRAWIE OGÓLNEJ SYTUACJI WE FRANCJI.

Zebranie kardynałów i arcybiskupów Francji w Paryżu uznało za niezbędne zwrócić uwagę katolików francuskich na ich podstawowe obowiązki w chwili obecnej Po zapewnieniu warstwy pracującej o ich sympatii w aktualnym kryzysie, kardynałowie i arcybiskupi przypomnieli o:

1) obowiązku wytężonej pracy, ścisłego poszanowania zasad moralnych we wszelkiego rodzaju transakcjach i staraniu o godziwy zysk,

2) obowiązku sprawiedliwości, który musi spełnić państwo i organizacje charytatywne, wyrażającym się opieką nad losem starców, rencistów i emerytów,

3) obowiązku ciążącym na katolikach — zapewnienia bytu kapłanom.

4) Zgromadzenie jeszcze raz potwierdziło swą najwyższą sympatię dla rodzin, które odważnie walczą o szkołę katolicką i otrzymanie ze strony władz właściwego rozważania spraw szkolnych.

5) Zapewniło chrześcijańskie związki zawodowe o swym uznaniu i przypomniało robotnikom katolickim, że powinni się organizować w syndykatach chrześcijańskich.

6) Stwierdzając ze wzruszeniem, że we Francji i na terenach okupowanych, znajduje się jeszcze ponad 250 tysięcy jeńców wojennych, pozbawionych wolności, zebranie przypomniało, że stan taki musi postawić przed sumieniem katolików problem sprawiedliwości i moralności.

7) W zakończeniu, kardynałowie i arcybiskupi wezwali Francuzów do jedności, oraz do znalezienia w szerokiej amnestii drogi do złagodzenia nagromadzonych cierpień i nienawiści, które mogą groźnie osłabić Francję.

EPISKOPAT FRANCUSKI I AKCJA KATOLICKA

Wielu członków Episkopatu Francuskiego wzięło zagadnienie Akcji Katolickiej jako temat swych listów pasterskich.

Mgr. Lefebvre, arcybiskup Bourges, stwierdza, że jakkolwiek jest doniosłą działalność kapłanów w dziele zbawienia, to rola wiernych nie jest mniej ważna. „Te dwa apostolaty — mówi arcybiskup — nie wyłączają się, są one w rzeczywistości dopełniającymi się wzajemnie i nie mogą przechodzić jeden obok drugiego. Chęć rozdzielenia ich, to w następstwie choćby częściowe skazanie ich na jałowość... Być apostołem i brać udział w akcji katolickiej, jest dla każdego wiernego obowiązkiem, któremu nie może się nie poddać bez ciężkich wyrzutów sumienia.

Mgr. Coste, biskup Angers, kładzie również silny nacisk na imperatywny charakter pracy w Akcji Katolickiej, podkreślając, że chodzi tu o bardzo stare zagadnienie, które w naszej epoce zostało szczególnie uaktualnione.

Mgr. Duc, biskup Marienne, widzi w niej najlepsze lekarstwo przeciwko rzeczywistemu obniżeniu życia religijnego we Francji. „Chcielibyśmy — pisze — aby wszyscy katolicy, młodzież i dorośli, wzięli na siebie obowiązek kształcenia środowisk, w których żyją i okazali w sprawach Chrystusa co najmniej tyle zapału, ile mają Jego wrogowie, w zdobywaniu uczniów dla różnych przewrotnych doktryn. Wtedy odrodzenie duchowe i moralne nie będzie pustym słowem“.

Mgr. Challoil, biskup Roder, stwierdza, że świadectwo, które musimy okazać ze względu na Chrystusa i Kościół Boży, nie może być tylko osobiste, lecz i zespołowe, po czym pochwala stworzenie wspólnego frontu katolików. „Królestwo boże — pisze mgr Maisonobe, biskup Belley — nie nadejdzie bez apostołów świeckich. Kościół dzisiejszy ma absolutną potrzebę, aby we wszystkich parafiach i instytucjach, katolicy świeccy zorganizowali się i w ścisłej jedności z duchowieństwem pracowali nad zbawieniem dusz“.

Godną podkreślenia w tych wszystkich wypowiedziach jest zgodność oceny wagi akcji katolickiej w świecie współczesnym.

LIST PASTERSKI KARDYNAŁA SALIEGE

„Nie trzeba ratować cywilizacji chrześcijańskiej, ponieważ ona nie istnieje“ — powiedział kard. Saliege — „maszyny i praca taśmowe zniszczyły w człowieku smak pracy, zainteresowanie, które miał dla niej. Człowiek współczesny widzi w pracy tylko zarobek. Ustrój kapitalistyczny czyniąc z człowieka maszynę produkcyjną, odebrał mu poczucie swej godności, pozbawił duszy, odczłowieczył. W tym leżą prawdziwe przyczyny dechrystianizacji... Zło nie leży w nauce. Zło jest w człowieku. To człowieka trzeba zmienić... Klasa robotnicza ma swe wspomnienia, ma również swe nadzieje. Klasa mieszczańska ma również wspomnienia i również swoje nadzieje. Klasa robotnicza jest ogarnięta bezmierną nadzieją, nadzieją sprawiedliwości w świecie pozbawionym wszelkiego przymusu. Wśród dążeń klasy robotniczej jest bardzo wiele słusznych. Trzeba je zaspokoić, ponieważ prowadzą one ku sprawiedliwości. To się czuje i to się widzi. Niewątpliwie, nie wszystko może być zrealizowane w mgnieniu oka. Trzeba obrać drogę. Widzimy trudną ścieżkę, widzimy sumienie, które może być pokonane zgodnie z prawami sprawiedliwości i miłości, tylko musimy tego chcieć. Jest obowiązkiem katolików, jak to wielokrotnie przypomniał Najwyższy Kapłan, aby pracować nad narodzinami nowego świata“.

W zakończeniu swego listu kardynał Saliege stwierdza, że wierzy w niepotrzebność wojen narodowych. Obawia się jednak, że rozpoczną się wojny domowe i konflikty, zamiast załatwienia przez wzajemne porozumienie będą zdławione siłą.

JEDNOŚĆ W TRANSCENDENCJI WIARY

Znakomity 2/XVI numer „La vie intelectuelle“ przynosi między innymi artykuł Y. Congar pod powyższym tytułem. Artykuł ten przytaczamy w całości:

„Często się mówi, że ludzie więcej się sobie przeciwstawiają ideami, niż mentalnością, to znaczy sposobem odczuwania i poznawania wszystkich rzeczy, aż do idei włącznie. Socjologowie, jak Haurion lub Delos sprowadzili nawet to określenie mentalności do definicji narodowości. Ci, co żyli poza granicami swego kraju, chętnie przyznają im rację.

Ale istnieje również możność określenia rzeczy z punktu widzenia samych katolików.

Do ostatnich lat kwestia religii we Francji stanowiła sekretne, a często nawet jawne podłoże naszych ostatnich podziałów politycznych. Słowa Poincare do Charles Benoit „pomiędzy Panem a mną stoi całe zagadnienie religii“, obrazuje fakt, który stanowił przeszkodę za Leona XIII dla „rallies“ (deputowani rojaliści, którzy uznali ustrój republikański) i który nam także przeszkadzał. Słowa „republika“ i „republikański“ miały od tego czasu znaczenie nie tylko konstytucyjne, czy polityczne, lecz sens ideologiczny i dogmatyczny — treść, która zawierała w sobie postawę religijną antykatolicką. Protestanci mogli być „republikanami“, ale nigdy katolicy. Francuzów dzieliło przede wszystkim zagadnienie religii, nawet w podstawach polityki.

Teraz odnajdują w nas właściwości republikańskie, jeżeli istotnie chcemy się sami do nich przyznać. Jest to w życiu politycznym francuskim i nawet w wewnętrznym życiu katolickim fakt nowy o wielkim znaczeniu. Wolność i zdobycz, której nie możemy sobie dać zabrać. Istotna treść słowa „republikański“ przebyła ze stuletnim opóźnieniem ewolucję podobną do określenie patriota, z którym w latach 1789-93 było słowo „republikański“ czymś równoznacznym. Tytuł ten obecnie nie jest dyskutowany. Zasłużyliśmy na niego aż nadto.

Jeżeli kwestie religijne dzieliły dawniej Francuzów w pojmowaniu podstaw poliyki, to jednak katolicy (z małymi wyjątkami) byli niewątpliwie politycznie jednomyślni. Im bliższe nam czasy obserwujemy, tym więcej spostrzega się wyjątków, całość jednak wydawała się jednorodna. Jeżeli nasza sytuacja w życiu politycznym narodu uległa zmianie, to dlatego, że nasza jedność polityczna zużyła się. Oznacza to — któż w to wątpi — oczyszczenie hipoteki, wolność, z której najmłodsze pokolenie, nie znające nawet nazwiska Maurras, nie może zdać sobie sprawy. Zbiera ono przede wszystkim to, co ich poprzednicy zasieli, jak ci sami poprzednicy korzystali w swoim czasie z dobrodziejstw innych siewców.

Ale inne niebezpieczeństwo, współzależne i przeciwne powstało w momencie, gdy jedność polityczna katolików została zlikwidowana. Zamiast sytuacji, w której zagadnienia religijne dzieliły Francuzów w zasadach polityki, polityka zaczęła dzielić katolików w ich życiu religijnym.

Nie jest to dla nikogo tajemnicą, że w masach katolickich, dzięki wolności, o której nie-katolicy nie mogą mieć ścisłego wyobrażenia, istnieje wielka różnorodność tendencji i sformułowań. Jest to słuszne, normalne i zgadza się z pięknem i bogactwem Kościoła, co zresztą teologowie w rodzaju św. Tomasza i papieży wielokrotnie podkreślali. Nikt nie może w najmniejszym stopniu temu się przeciwstawić. Z punktu widzenia politycznego, będzie zawsze istniało zjawisko, które można nazwać pomimo całego nieprzyjemnego oddźwięku tego słownictwa — katolikami z prawicy i katolikami z lewicy. Tak jak prawica i lewica charakteryzując się przede wszystkim przez różnorodność mentalności, zawsze będziemy mieli między katolikami różne dążenia, których wpływ będzie się odczuwać nawet w sposobie opanowywania, myślenia, wykładania i obrony doktryny. Łączność pewnych podstaw doktrynalnych z pozycją polityczną jest rzeczą łatwą do udowodnienia rozumowo i jeszcze łatwiejszą do ustalenia indukcyjnie w oderwaniu od faktów.

Sądzimy, że można wyciągnąć stąd następujący wniosek: trzeba katolików nakłonić do kultu czynnego, skutecznego, transcendencji Ewangelii i wiary.

Poza wszelką mentalnością, uczestniczymy w rzeczywistości i przekonaniach, które są samą istotą tradycji chrześcijańskiej. Ale tę transcendencję można osiągnąć tylko wtedy, jeśli się uchwyci rzeczywistość i poglądy chrześcijańskie dostatecznie wysoko, możliwie najbliżej źródła. Kochamy św. Tomasza, któremu zawdzięczamy istotne i najbardziej śmiałe sformułowanie intelektualne. Ale wiadomo również, że czynić z poglądów św. Tomasza normę w dosłownym znaczeniu, bez uwzględnienia innych poglądów chrześcijańskich, byłoby zaniedbaniem dotracia do źródeł, które są wcześniejsze od św. Tomasza i wyżej od niego położone. W chrystianizmie, pobożności, a przede wszystkim w teologii z jej źródłami, mogą katolicy odnaleźć i zrealizować swą jedność. Źródła te są znane: sama rzeczywistość życia chrześcijańskiego przeżywanego wspólnie pod kierunkiem Kościoła Nauczającego, to znaczy episkopatu, skoncentrowanego wokół Tronu Piotrowego, Biblia, liturgia, Ojcowie Kościoła, następnie uznani teologowie. Jeżeli codziennie będziemy powracać do tych źródeł, jeżeli się istotnie do nich przyzwyczaimy, jeżeli Biblia stanie się naprawdę matrycą naszych myśli, wtedy poznamy jak bardzo wiara i rzeczywistość chrześcijańska jest transcendentna postawom jednostkowym. Różnice pozostaną między nami, ale nie będą więcej opozycją, ponieważ będą znane i uznane jako użyteczne z punktu widzenia wspólnoty głębszej i żywo odczutej.

UNIA POSTĘPOWYCH CHRZEŚCIAN

Warto zasygnalizować ożywienie działalności L'Union des chretiens Progressistes. Są to grupy „katolików“, jeśli można ich jeszcze tak nazywać, które z geografii politycznej Francji należałoby umieścić jeszcze bardziej w lewo od „Esprit“. Grupa ta wydaje miesięcznik „Position“. Zasadnicze oblicze tej organizacji zarysowuje się w ogłoszonym manifeście i apelu. Publikacje te stwierdzają, że:

1) „Ustrój kapitalistyczny jest niezgodny w swych zasadach z podstawowymi wartościami chrześcijańskimi: Sprawiedliwości i Miłości“.

2) „Komunistyczna Partia Francji jest jedyną partią francuską, która skutecznie walczy z kapitalizmem“.

3) „Należy walczyć ze wszystkimi formami antykomunizmu, szczególniej z jego formą religijną“.

ŻYCIE KATOLICKIE

W dniach 30 marca — 3 kwietnia odbył się w Lille kongres narodowy L'Union des oeuvres catholiques. Tematem podstawowym kongresu była „struktura społeczna i pasterska parafii“.

***

W tym roku również miała miejsce pielgrzymka studentów Sorbony do Bazyliki Sacre Coeur. Pielgrzymki te udają się do Bazyliki Mont Marre pieszo bez względu na pogodę. W tym roku udział w pielgrzymce wzięło 1300 studentów i studentek. Tematem dyskusji i medytacji była obecność Chrystusa w świecie i w nas. Kardynał Suhard wygłosił przemówienie, w którym zwrócił uwagę na palącą konieczność apostolstwa studentów, prosząc ich, aby z pomocą Bożą starali się kształtować aktywną osobowość chrześcijańską.

Msza św. o północy zakończyła pielgrzymkę. Ilość przystępujących do Komunii św. była bardzo wielka.

***

Mgr. Girbeau, biskup Nimes, wchodząc w trudną sytuację materialną podległego mu duchowieństwa, zdecydował się na ustanowienie „podatku wiary“. Podatek ten winien być opłacany przez głowy rodzin i wszystkich zarobkujących dorosłych, w wysokości dochodu jednego dnia pracy. Wszyscy wierni, którzy uregulują ten podatek, otrzymują zaświadczenia, uprawniające do bezpłatnego korzystania ze wszystkich posług religijnych, za wyjątkiem ofiar składanych na odprawianie Mszy św.

***

15.023 misjonarzy francuskich prowadzi swą pracę na całym świecie. Na liczbę tę składa się: 4.502 księży, 1.919 braci zakonnych, 9.102 sióstr zakonnych.

***

Mgr. Dubourg, arcybiskup Besancon opublikował w „La Voix Diocesaine de Besancon“ artykuł, w którym zwalcza naruszanie powagi Mszy św programami muzycznymi, które mają więcej wspólnego z teatrem niż ze sztuką religijną.

***

Ojciec św. podniósł biskupstwo Marsylii do rangi arcybiskupstwa i mianował mgr. Delay arcybiskupem Marsylii.

***

Na prośbę kardynała Suhard, Ojciec św. pozwolił na używanie języka francuskiego w liturgii, poza udzielaniem niektórych sakramentów.

podał J. H.

ZJAZD B. WYCHOWANKÓW GIMNAZJUM T-WA SALEZJAŃSKIEGO im. KAZIMIERZA WIELKIEGO W OSTRZESZOWIE WLKP.

W Poznaniu zawiązał się Komitet Organizacyjny Zjazdu b. Wychowanków Gimnazjum T-wa Salezjańskiego im. Kazimierza Wielkiego w Ostrzeszowie Wlkp., który w czerwcu br. urządza zjazd koleżeński z okazji minionej 25-letniej rocznicy założenia Gimnazjum, a 15-lecia placówki T-wa Salezjańskiego.

Celem zjazdu jest nawiązanie łączności z wszystkimi b. wychowankami Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego w Ostrzeszowie Wlkp., zorientowanie się, jakie spustoszenia w szeregach Ich poczyniła wojna, i odnowienie wspomnień z lat szkolnych.

Komitet pragnie, aby wszyscy b. wychowankowie wzięli udział w zjeździe, dlatego każdy z wychowanków jest proszony o nadesłanie swojego adresu oraz adresów znanych kolegów i koleżanek.

Co dotyczy zmarłych, zaginionych, poległych i zamordowanych przez hitlerowców Wychowanków. Komitet zjazdu prosi Kolegów lub rodziny, o dokładne życiorysy i dane z ewtl. fotografiami, potrzebne do opracowania historii i działalności Gimnazjum i jego wychowanków.

Komitet Organiz. prosi również o adresy b. Wychowanków innych Zakładów T-wa Salezjańskiego w Polsce i zagranicą, w celu nawiązania kontaktów koleżeńskich

Wszelkie pisma należy kierować na adres kolegi sekretarza Komitetu p. Władysława Zagórskiego, Poznań 2. ul. Wyspiańskiego 16, m. 8, tel. 72-65, lub na adres Zakładu T-wa Salezjańskiego w Poznaniu 1, przy ul. Wronieckiej 9.

WYDATEK NA DOBRĄ KSIĄŻKĘ TO WYDATEK NAJLEPSZY

Polecamy:
CHARLES'A
Modlitwa na każdą godzinę
cena 500 zł + koszt przesyłki
OKOŃSKIEGO
Wielka tajemnica
cena 200 zł + koszt przesyłki
POLECAMY TAKŻE NASZ NOWY KATALOG DOBRYCH KSIĄŻEK
Zamówienia:
Warszawa 12, skrz. poczt. 40
Towarzystwo Przyjaciół
Katolickiego Uniwer. Lubelskiego
ZAKŁADAJCIE PARAFIALNE BIBLIOTEKI DOBREJ KSIĄŻKI

Dominik Horodyński

Nierozważna polemika

Piotr Borkowski opowiadał mi kiedyś o galicyjsko - austriackim polityku — nie pamiętam już czy był to Dzieduszycki, Badeni czy Potocki — który na gabywany w trudniejszych momentach politycznych o zajęcie wyraźnego stanowiska, odburknął: „Mam zwyczaj zajmować stanowiska wyłącznie na polowaniu — polityka nie na tym polega“.

Przypomniała mi się ta anegdota po przeczytaniu politycznego artykułu Jerzego Borejszy: „Ideologia na śmietniku“? (Odrodzenie, Nr 17), gdy zastanawiałem się czy podjąć polemikę, czy zająć — wbrew radom doświadczonej ekscelencji — stanowisko. Rozsądek nakazywał siedzieć cicho. Przede wszystkim starsi ludzie często mają rację, prawdopodobnie stary hrabia wiedział co mówi. Poza tym sam Borejsza, choć przewiduje dyskusję, z góry przed nią przestrzega.

Czyż nie jest przestrogą, pod piórem prezesa „Czytelnika“ obdarzenie swych przyszłych oponentów, a priori, epitetami „rejtaniątek“, „glistoraków“ (świetne plastyczne słowo, na pewno się przyjmie), przewidywanie „krzyku, że się upraszcza“, „wulgaryzuje, obniża poziom sztuki“, zarzucanie — nam dyskutantom — z góry „sklepikarstwa myślowego, niezrozumialstwa, chęci wymigania się, nawet celną anegdotą, błyskotliwym powiedzeniem“ itd. — jednym słowem miłe, zachęcające zaproszenie do tańca.

Ale nie na tym koniec. Znajdujemy w artykule przestrogę znacznie groźniejszą: „Nie mniej przeto, niech nasi przeciwnicy pamiętają o tym, że tkwiąc mocno w czasie i przestrzeni mamy żołnierskie poczucie odpowiedzialności w okresie wielkiej walki...“. Brr... bojowe głoszenie żołnierskości budzi we mnie nienajlepsze wspomnienia. Poza tym jestem cywilem, a wiadomo jakie szanse ma cywil w dyskusji z żołnierzem. Ludzie rozważni zawsze unikali takich sytuacji.

Jeśli wbrew doświadczeniom pokoleń czynię inaczej, wytłumaczyć się mogę tylko bardzo naiwnie. Chcę zachować złudzenie, że w czasach pokoju cywile mają swoje prawa i nie powinni się bać żołnierzy, nawet najlepiej uzbrojonych.

Starego hrabiego nie słucham, bo przypomniałem sobie, że sąd jego musiał być uwarunkowany historycznie, a działał on w epoce feudalno - demokrytycznego parlamentaryzmu, kiedy o polityce decydowały rozmowy kuluarowe, poufne i tajemnicze, glistorak był rodzajem cenionym, a zajmowanie jakiegoś wyraźnego stanowiska ideowego groziło ośmieszeniem.

Na artykuł Borejszy odpowiedzieć trzeba, ponieważ budzi on zasadnicze sprzeciwy.

Treścią omawianego artykułu jest „zagadnienie wzajemnego stosunku ideologii — w najszerszym zrozumieniu tego słowa, od filozofii do polityki — z literaturą“. Borejsza, dostrzega w dotychczasowej publicystyce na ten temat dwa klasyczne kierunki: „formalizm i wulgarny socjologizm z jednej, marksizm z drugiej strony“. Potępiając zdecydowanie kierunek pierwszy, równie zdecydowanie opowiada się za drugim.

Trudno się zgodzić z połączeniem kierunku formalistycznego z „wulgarnym socjologizmem“. Takie postawienie sprawy ułatwia autorowi dyskusję z formalistami i może być usprawiedliwione tylko kryteriami taktyczno - politycznymi — w każdym razie nie liczy się z opinię przeciwnika, co dobrze ilustruje przykład o przeciwstawnych sobie odchyleniach w ruchu robotniczym. Dobrowolny sojusz formalistów i wulgarnych socjologów nie grozi. Tych ostatnich Borejsza zmiażdżył, za co trzeba mu podziękować — zadługo się panoszyli. Może zachęcona przykładem z góry „Kuźnica“, przestanie publikować ponure recenzje typu p. Helena Wichrzycka („Kim pracuje dla pułkownika Creighton“, Nr 15).

Potępiając formalizm, Borejsza zaatakował wypowiedzi wybitnych ludzi kultury Jana Parandowskiego i Aleksandra Wata. Nie moją jest rzeczą bronić tej postawy. Pozwolę sobie tylko przytoczyć zdanie z ostatniej książki, może najgłębszego z polskich talentów pisarskich, Adolfa Rudnickiego, — gdzie artysta mówi od siebie: „Po roku pokoju widziałem oto, iż sztuka stała się akurat taka, jaka była od tysiąca lat: samowolna, dzika, kapryśna, kładąca akcenty tam, gdzie się jej podoba, na drobiazgach, na głupstwach, pisząca sobie swoją historię. I wiedziałem już, że nie ma właściwie na to rady. Stygła pamięć o okropieństwach, świat znowu domagał się piękna“.

Czując się zwolniony od polemiki z negacjami Borejszy, muszę się zająć pozytywną częścią jego wypowiedzi. Zasadniczą myślą autora jest: nie może być książka artystycznie dobra, a ideologicznie zła. Sądzę, że można by się zgodzić z Borejszą, jeśli pozwoli postawić pytanie: „jaka ideologia jest dobra“? Ale Borejsza nikogo nie pyta, tylko stwierdza: marksizm. Tutaj następuje sprzeciw. Przykład z panem Jourdain niczego nie tłumaczy. Istotnie Jourdain, choć o tym nie wiedział, mówił prozą — ale jaką, chyba swoją. Wynika z wywodów Borejszy, że współczesny artysta, nawet ideologicznie nie zorientowany i oporny, jeśli jest prawdziwym artystą — stworzy dzieło ideowo marksistowskie.

Marksizm nas dużo nauczył. Między innymi nie ufamy twierdzeniom nie sprawdzonym empirycznie. Mogę się zgodzić z tezą marksizmu, że „estetyka stanowi wyraz zależności pomiędzy treścią i formą (Laurent Casanova)“ — ale tą treścią nie musi być marksizm. **Każda prawda przeżyta istotnie i twórczo przez artystę, stwarza treść, warunkującą wartość formy.**

Według Borejszy, ta prawda okaże się marksizmem, tymczasem utwory drukowane w „Odrodzeniu“ same zaprzeczają poglądom naczelnego redaktora. Co robi tam sceptyczny Iwaszkiewicz, katastrofista Miłosz, katolik Żukrowski, obok marksisty Jastruna. Każdy z tych artystów reprezentuje inną ideologię — z tego trzech, według norm Borejszy złą. Wobec tego ich twórczość powinna być artystycznie zła. — A czy można obronić słuszność takiej wypowiedzi, „pisze się: „książka ideologicznie świetna, artystycznie zła“, lub odwrotnie, tak jak gdyby to były rzeczy rozłączne“

Mój Boże! A cóż krytyk marksistowski zrobi z dramatami — świetnego skądinąd poety i tłumacza—Ważyka? Czy marksista nie może być grafomanem albo grafoman dobrym marksistą? Czy linia talentu rozwijającego się ideowo Gałczyńskiego, może marksistów cieszyć z artystycznego punktu widzenia? Jakie zarzuty postawi Borejsza sztuce swoich ideowych przeciwników, tak różnych sobie, jak Camus i Claudel. Przykłady — i to tylko współczesnej nam epoki — można by mnożyć w nieskończoność.

Obawiam się, że stosując konsekwentnie metodę klasyfikacji, proponowaną przez Borejszę, musielibyśmy sprowadzić sztukę do roli narzędzia, każdej aktualnie zwycięskiej ideologii politycznej.

Wiele było ideologii zwycięskich w dziejach, wielka sztuka towarzyszyła im w okresie walki, zdradzała często w chwili zwycięstwa. Nie zawsze należy tę zdradę potępiać. Często trzeba ją cenić jako najbardziej twórczą krytykę.

Czy nie słuszniej jest powiedzieć, że każda wielka ideologia szuka swego dopełnienia w sztuce, Czy nie słuszniej jest stwierdzić, że każda wielka sztuka organizuje całość psychiki człowieka nie tylko w dziedzinie estetycznej ale i moralnej, filozoficznej itd.

Wspominając Picassa i czerpiąc argument porównawczy z dziedziny architektury, Borejsza upoważnił dyskutantów do przerzucenia jego teorii z dziedziny literatury na ideologię sztuki w ogóle. Przepraszam, ale tutaj grozi nam dojście ad absurdum. Czym ma się wyrazić dobra ideologia w muzyce, lub pozytywna treść w tańcu czy malarstwie ?

W tych dyscyplinach artystycznych prawdziwe dzieło sztuki odrywa się od konkretnych ideologii. Tutaj niezależnie od ideologii występuje autonomiczny mechanizm powstawania piękna. Nikt nie zna recept. Ideologia zwykle ex-post doczepia się do dzieła — ku zdumieniu twórcy. Recepty i naiwnie czytelna treść zjawiają się o szczebel niżej, w drugorzędnej sztuce.

(Nb. Dlaczego znalazłem w „Odrodzeniu“, dziwnym stylem pisaną pochwałę Grottgera i Fałata? Pierwszy, ideowo apologeta ckliwego romantyzmu narodowego, w duchu mesjanistyczno - męczeńskim, (coś dla p. Brauna), formalnie: szmira. Drugi, ideowo malarz ziemiański, formalnie:... co kto lubi. Obaj istotnie w odróżnieniu od Picassa bardzo „czytelni“).

Przyznać trzeba, że autor bez kompromisowego ideowo artykułu „Ideologia na śmietniku?“, jest jakby zupełnie inną osobą od Borejszy, prezesa „Czytelnika“ i redaktora „Odrodzenia“. Czy dotychczasową politykę redakcji i spółdzielni tłumaczy tylko liberalizm, czy może nieuniknione konsekwencje realnego kontaktu z rzeczywistością kulturalną?

W omawianym artykule poświęcono nieco uwagi i miejsca tygodnikowi „Dziś i Jutro“. Borejsza jest szermierzem jasności słowa i zawsze czytając jego publicystykę, ile razy nie mogłem się zgodzić ze stroną merytoryczną, zmuszony byłem podziwiać kunszt formalny — tym razem jednak mowa jego jest trudna. Nie jestem pewien czy gani Pietrzaka czy chwali. Jeśli cytaty z Pietrzaka o filozofii czynu, Bergsonie i Nitschem, mają oznaczać podejrzewanie nieżyjącego autora o wyznawanie tych teorii, to nastąpiła widoczna pomyłka, albo Borejsza esseju Pietrzaka do końca nie przeczytał, co przy jego rozlicznych zajęciach łatwo zrozumieć. Pietrzak ideologii czynu nie głosił i faszystą nie był. Widać to w jego spuściźnie literackiej i działalności wojennej.

Może zresztą źle zrozumiałem te wywody Borejszy, natomiast na pewno zrozumiałem go dobrze, w miejscu, gdzie kursywą wybija zdanie „zasadnicza rozbieżność kultur Wschodu i Zachodu“ — widocznie demaskując w ten sposób rzekomo polityczny charakter esseju.

Kilkanaście wierszy wyżej Borejsza stwierdził, że socjalizm nie odwraca się od czasu, nie ucieka od historii, tylko z tej historii wynika. Kilkanaście wierszy niżej pisze: „My jednak zamiast linii podziału między kulturą wschodu i zachodu, przyjmujemy inną zasadniczą linię podziału, tę między ideologią socjalizmu rewolucyjnego i schyłkowego kapitalizmu“.

Świetnie. Z tym podziałem można się zgodzić, zastrzegając, że jest to podział w kategoriach ideologicznych i aktualny dla XX wieku. Negowanie natomiast innej treści kulturalnej—a więc i inności historycznej — latyńskiej, zachodniej Europy i bizantyjsko - greckiej, wschodniej, jest tylko postawieniem pewnej tezy historiozoficznej. Tezy nowej, którą można podzielać lub nie, ale trudno uznać za udodowodnioną artykułem „Ideologia na śmietniku“.

Zdanie Pietrzaka nie ma żadnego aktualnego wydźwięku politycznego. Przypuszczam, że oparty o historyzm socjalizmu europejski komunista może być tej samej opinii. Znam natomiast reakcjonistów podzielających historiozofię Borejszy. Rozbieżność poglądów w tym względzie nie implikuje stosunku do Rosji. Ja np. wierzę w wielką rolę Rosji w Europie, inaczej patrząc na przeszłość od Borejszy. Nie jestem pewien czy zdanie Borejszy jest oficjalną tezą marksizmu.

W ostatniej mowie Stalina do delegacji fińskiej — we fragmencie poświęconym pełnowartościowej roli każdego narodu, a więc i inności historycznej i kulturalnej, — można by się doszukać innych akcentów. Również G. Malenkow w wygłoszonym w swoim czasie w Polsce referacie, wyodrębnia kulturę Zachodu. Cytuję za „Głosem Ludu“ (Nr 365, — 1947 r.): „W ostatnich czasach partia stoczyć musiała zdecydowaną walkę z rozmaitymi przejawami płaszczenia się i służalczości wobec burżuazyjnej kultury Zachodu, spotykanego niekiedy wśród pewnych warstw naszej inteligencji i stanowiącego jeden z przeżytków przeklętej przeszłości carskiej Rosji“.

Osobiście sądzę, że aktualność podziału Europy na Wschód i Zachód, minie w naszym pokoleniu. Natomiast nie przestanie obowiązywać w kategoriach historycznych

---

Trudno zakończyć tę dyskusję nie wyjaśniwszy kogo Borejsza miał na myśli, pisząc o redakcji „Dziś i Jutro“: „Oni również bronią poziomu, i znajdując w utworach poszczególnych pisarzy demokratycznych pewne słówka, które wydają się im niepolskie, atakują, sami zaś wysuwają na wieszcza narodowego autora o najbardziej niechlujnym języku literackim. Jakież to miłe w swym cyniźmie, nieprawda? I apolityczne!“.

Jeśli Borejsza myślał o Pietrzaku, to mogę go zapewnić, że nie pasujemy Pietrzaka na wieszcza narodowego — poprostu szanujemy jego pamięć i publikujemy te jego utwory, które uważamy za cenne. Język Pietrzaka jest chropawy, pisał on w czasie wojny i nie zdążył przed śmiercią przygotować ostatecznie materiału do druku — trudno bez wiedzy autora wygładzać jego utwory.

Jeśli Borejsza myślał o kimś z żyjących, to lepiej jest poinformowany ode mnie. Wiem, że dział literacki „Dziś i Jutro“ pozostawia dużo do życzenia. Na ten niezbyt wesoły stan, składa się szereg przyczyn, które trudno jest zwalczyć. W tych warunkach naprawdę nie wiem kogo byśmy mieli windować na wieszcza. Chyba, że koledzy robią coś w tajemnicy przede mną — po nich można się przecież wszystkiego spodziewać.

Dominik Horodyński

Śmierc

Napnij brew — miniaturę widnokręgu
strąć z muszki srebrną jaskółkę
Huk — — —
po drugiej stronie świat w. przyklęku
wsłuchany w serce — sygnaturkę —
Pochyl twarz
nad siwą skrzyżowaną deską
stygnie czas —
skreślony purpurową kreską.
Sen pękł na pół —
wycieka farba dnia i świadomości —
w przepaść — w dół
w ramiona wieczności
poprzez
wojnę.

M. K.

Ostatnie dwie książki:

HANNY MALEWSKIEJ,

Laureatki

1 Katolickiej Nagrody Literackiej:

Stanica zł 300

Żelazna Korona, 2 tomy „ 1.200

wydane nakładem

Mieczysława Fuksiewicza i S-ki

Warszawa, Nowogrodzka 37

Do nabycia we wszystkich księgarniach

W kraju...

SESJA WIOSENNA SEJMU

28 kwietnia odbyło się pierwsze posiedzenie Sejmu Ustawodawczego w ramach tegorocznej sesji wiosennej. Do najważniejszych punktów porządku dziennego należało uchwalenie projektu o zmianie ustawy z 1924 r. w przedmiocie pracy młodocianych i kobiet oraz projektu z 1933 roku o ubezpieczeniu społecznym. Oba projekty zostały wniesione przez posłanki stronnictw zblokowanych i mają na celu poprawę losu kobiety pracującej.

Pierwszy projekt przewiduje, że kobieta zatrudniona przy uciążliwej pracy fizycznej, będzie począwszy od szóstego miesiąca ciąży przeniesiona do pracy lżejszej z zachowaniem dotychczasowego zarobku. W okresie przed i po połogu kobieta będzie zwolniona od pracy w przeciągu 12 tygodni. Wprowadza się również zakaz rozwiązywania umów o pracę z kobietą ciężarną, która przepracowała w danym zakładzie 3 miesiące przed okresem ciąży.

Drugi projekt wiąże się ściśle z pierwszym, regulując sytuację matek pracujących na odcinku ubezpieczenia społecznego.

Na tym samym posiedzeniu w rezultacie uchwalonej na poprzedniej sesji rezolucji Klubu Katolicko - Społecznego, Rząd w osobie min. Pracy i Opieki Społecznej — Rusinka, złożył obszerne sprawozdanie z dotychczasowych swych dokonań, zmierzających do poprawy bytu ludności przyczółków. W dyskusji nad sprawozdaniem zabrał głos poseł Frankowski (Kat. Społ.), przestrzegając przed zbytnim optymizmem i sugerowaniem się cyframi, które mogą zmącić tragiczny obraz rzeczywistości. Mówca imieniem Klubu Katolicko - Społecznego wniósł rezolucję, wzywającą Rząd, aby przy układzie Planu Inwestycyjnego na 1949 r. słuszne interesy gospodarczej odbudowy przyczółków znalazły specjalne uwzględnienie.

Ze stanowiskiem posła Frankowskiego polemizował min. Rusinek i przeciw uchwaleniu rezolucji wypowiedzieli się inni mówcy bloku. Pos. Kliszko (PPR), oświadczył jednak, że nie oznacza to bynajmniej, ażeby sprawa przyczółków nie stanowiła ogólnej troski i przedmiotu dalszych starań.

INTERPELACJE KLUBU KATOLICKO - SPOŁECZNEGO

NA tymże posiedzeniu Sejmu posłowie katolccy interpelowali Ministra Administracji Publicznej w sprawie wykonania ustawy o ograniczeniu w sprzedaży i spożyciu napojów alkoholowych oraz Ministra Odbudowy w sprawie uregulowania wysokości komornego w domach czynszowych. Sytuacja odcinku sprzedaży alkoholu przedstawia się w sposób niewesoły. Wprawdzie ustawa z dnia 21 marca 1931 r. przewiduje m.in., że nie można sprzedawać alkoholu nieletnim do 21 roku życia oraz uczniom szkół niższych i średnich bez względu na wiek, że niedozwolona jest sprzedaż detaliczna alkoholu w odległości 100 metrów od kościołów, cmentarzy, klasztorów, zakładów naukowych, sądów, dworców kolejowych, koszarów i fabryk, zatrudniających więcej niż 50 robotników, jednak przepisy te nie są w praktyce przestrzegane i dopuszczalne wyjątki stają się regułą.

Druga interpelacja posłów katolickich dotyczy sprawy uregulowania komornego, pobieranego przeważnie według stawek przedwojennych, co uniemożliwia właścicielom przeprowadzanie remontu domów. Sytuacja paradoksalna jaka się tu wytworzyła wymaga jak najszybszego rozwiązania tego dylematu celem ochrony przed dewastacją ocalałych z pożogi wojennej nieruchomości, które bez względu na tytuł własności stanowią część składową naszego majątku narodowego. Obie interpelacje zostały odesłane do Prezesa Rady Ministrów.

Aleksander Gella

Dyskusja nad „Rozdrożem Miłości"

Dnia 12 kwietnia urządziła Dyrekcja „Teatru Klasycznego" w Warszawie zebranie dyskusyjne na temat „Rozdroża miłości" z udziałem literatów, aktorów, publiczności i autora, który jednak zawiódł, gdyż nie zjawił się na zebraniu. Dyskusja potoczyła się w różnych kierunkach. Objęła tak sam utwór, jak i jego wystawienie w Teatrze Klasycznym, porównanie ze spektaklem krakowskim i wreszcie poszczególne kreacje. Skala ocen nie jest tak wielka, jak różnorodność pojmowania „Rozdroża". Niemal wszyscy uznają nieprzeciętność sztuki i jej walory artystyczne, ale zarazem prawie każdy ma inny sąd o jej istotnym sensie.

Różnorakie opinie, którym przysłuchiwałem się podczas dyskusji i lektura recenzji rozrzuconych po naszej prasie skłoniły mnie do skreślenia kilku uwag na temat samej sztuki.

Szczęśliwie się złożyło, że sztuka Zawieyskiego, która jest w powojennym teatrze wydarzeniem o dużym ciężarze gatunkowym, spotkała się z podwójną interwencją sceniczną. Krakowski teatr przedstawił ten dramat pod nieco innym kątem widzenia, niż Teatr Klasyczny w Warszawie.

„Rozdroże miłości", nad którym, dla każdego, kto je przeżył, niby motto unoszą się słowa Modlitwy Pańskiej „I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", pełne jest różnorodnych problemów postawionych mocno i jasno. Jednak zdaniem moim wyróżnić można dwa problemy zasadnicze. Problem pierwszy to ingerencja Boga w sprawy ludzkie. Drugi, to tragedia zagubionej w swej nieprzeciętności kobiety. Problemem, który został naświetlony silniej przez teatr krakowski, był problem pierwszy. Problem drugi uwypuklony został lepiej w Teatrze Klasycznym. Stało się to może nie tyle przez świadomą wolę reżysera, ile jako następstwo innej niż w Krakowie, szczęśliwszej, czy nieszczęśliwszej obsady ról.

O problemach „Rozdroża" powiedziano już bardzo wiele. Mówiono o dramacie idei, o walce dwóch pojęć Boga: księdza Anastazego i księdza Jana, o konflikcie dobra i zła, o problemie kary i przebaczenia. Mam wrażenie jednak, że te i tym podobne zagadnienia nie sięgają dna sztuki, dna, po którym sączy się przez trzy akty nurt dla sztuki najistotniejszy. Sądzę, że przez całą szukę przewijają się dwa problemy zasadnicze: boski i ludzki. Problem pierwszy góruje i przytłacza drugi. Stosunek ich wzajemny jest taki jak ducha do ciała. Może dlatego właśnie, choć brzmi to dość paradoksalnie, pełnię sztuki jaką nam dał znakomity autor przeżył ten, kto widział oba spektakle. Krakowski, w którym na czoło wysunęło się najistotniejsze zagadnienie sztuki: ingerencja Boga w życie jednostki i zbiorowości, oraz warszawski, który nam silniej podkreślił pierwiastek ludzki w tej samej sztuce, tragedię kobiety niewspółmiernej z otaczającym ją światem i bezbronnej wobec dynamicznej potęgi własnej natury.

Do tego, że sztuka poświęcona zagadnieniom religijnym znalazła żywy oddźwięk w społeczeństwie, przyczynił się nie tylko głód głębszych przeżyć artystyczno - intelektualnych i obiektywna wartość „Rozdroża" jako dzieła sztuki, ale i jego „sensacyjność" w dobrym tego słowa znaczeniu, jak to już podkreślił Wojciech Natanson.

Powiedziałem, że najgłębszym według mego zdania sensem sztuki to przedstawienie ingerencji boskiej w sprawy ludzkie. Ale sensacyjność sztuki polega na czymś więcej. Na scenie gra siedmiu aktorów, lecz prócz nich do zawiązania akcji przyczynia się w równej mierze dwóch innych, którzy nie mieli rozpisanych ról. To ksiądz Anastazy i Andrzej. Ich działalność ma swe konsekwencje w przebiegu dramatu. Oni żyją nie tylko w myślach i słowach grających, ale działają zza grobu.

Nade wszystko jednak rzeczą dającą sztuce piętno niecodzienności, a powodującą, że wstrząsa nawet tych, którzy nie dostrzegli najgłębszego jej nurtu, jest wprowadzenie do akcji transcendentnego Boga w tym samym stopniu, co aktorów takich jak ksiądz Anastazy czy Andrzej. Choć nie wypowiada ani jednego słowa, choć nie kieruje wolą wolnych ludzi a tylko raz jeden ukazuje się, gdy już ludzie przejrzeć nie mogą, zajmuje w tej sztuce rolę główną. Autor ukazał nam Boga pod zwykłą postacią, w jakiej na codzień, bez cudów ingeruje w sprawy ludzkie. W sztuce Zawieyskiego ukazuje się bowiem Bóg pod postacią „Przypadku". Ukazał się jednak tym razem dość wyraźnie, by pojęli jego obecność i wolę ludzie zainteresowani w zdarzeniu. Ukazał się Miłosierny, Przebaczający... — nie karzący. Przypadkiem, którym przemówił, rozwiązał dramatyczną sytuację właśnie w chwili, gdy zdawało się, że siły ludzkie już nic nie pomogą.

Tylko raz w literaturze polskiej, w utworze scenicznym dano rolę Bogu Wszechmogącemu napisaną bez słów i bez pokazywania go. To Mickiewicz w „Improwizacji", którą tak wielu krytyków nazywało i nazywa po dziś monologiem — stworzył dialog między Bogiem a Konradem. Bóg odpowiadał Konradowi, jak odpowiada każdemu zuchwalcowi — milczeniem!

Słyszałem, jak zarzucano Zawieyskiemu sztuczne rozwiązanie dramatu, jak twierdzono, że posłużenie się przypadkiem było rozwiązaniem najsłabszym, najprymitywniejszym. Słyszałem jak mówiono, że nie rozstrzygnął zagadnienia tak ważnego, jak walki między dwoma pojęciami Boga. Nawet więcej, ktoś twierdził, że właściwie zwyciężył Bóg karzący, Bóg księdza Anastazego — przecież Elżbieta ukarana została — utonęła. Tak jednak zrozumieć „Rozdroże" mogą tylko ludzie bardzo dalecy od katolicyzmu. Bóg w „Rozdrożu" jest Bogiem przebaczającym i miłosiernym. Jego ingerencja tak rzadko przez nas dostrzegana pospolicie zwana przypadkiem, w sztuce Zawieyskiego była aktem łaski. Uwolnił nim od ciężaru życia umęczoną Elżbietę i dał jej szczęście zadośćuczynienia. Twierdził kierownik literacki Teatru Klasycznego p. M. Rusinek na zebraniu dyskusyjnym, że pokazał tu autor jak niewystarczającą dla duszy ludzkiej jest spowiedź i rozgrzeszenie, jako Łaska boska i jak konieczne jest efektywne przebaczenie ze strony bliźnich. Pozwolę sobie przypomnieć w związku z tym, że Kościół katolicki naucza nie tylko o spowiedzi i rozgrzeszeniu, ale i o zadośćuczynieniu. Wyprzedził więc Freuda...

Bóg w „Rozdrożu" aktem swej woli, jednym z tych, który nazywamy przypadkiem, ratuje Elżbietę, rozładowuje sytuację na wsi, dopełnia dzieła, nad którym pracował ksiądz Jan, zdejmuje bielmo z oczu ślepych, z pęt nienawiści wyzwala Martę. Postawa wsi, której przedstawicielem jest wójt, załamuje się w obliczu Przypadku. Widać wieś przypadek zrozumiała... Teraz już bez walki poprowadzi swą owczarnię ksiądz Jan.

Sztuka Zawieyskiego jest od początku do końca w swym zasadniczym zrębie konsekwentna. Pomijając błędy nieistotne dla całości, powiedzieć można, że jest tak właśnie nieubłaganie logiczna jak życie. Chodzi wszak tylko o to, by w czasach zaprzeczenia nawet przez fizykę przyczynowości widz zrozumiał, że nie każdy przypadek jest zwykłym zbiegiem okoliczności, że istnieją przypadki, które pisać należy przez duże „P".

Wielkość „Rozdroża" zasadza się w dużej mierze na tym, że jego autor miał odwagę poruszyć sprawę ingerencji Boga w życie ludzkie. Zagadnienie to aktualne jest zawsze. Dziś tym więcej, że żyjemy w epoce renesansu chrześcijaństwa i teoretycznego przezwyciężania materializmu filozoficznego, kiedy w wielu umysłach rodzi się już Bóg na nowo, ale

(Dokończenie na str. 7)

Wędrówki po scenach polskich

„OWCZE ŹRÓDŁO" LOPE DE VEGI W KRAKOWIE

Genezy narodowego dramatu hiszpańskiego szukać należy gdzieś w Autos Sacramentales, w Autos del Nacimiento i w Comedias Divinas. Echa tych widowisk uzupełnione eposami i romanzami ludowymi, uszlachetnione nawrotem do wzorów klasycznych, a owiane głębokim i żywiołowym patriotyzmem stanowią glebę, na której wyrośnie nowożytny teatr Hiszpanii. Ludźmi, którzy pierwsi stworzyli syntezę tych elementów, którzy zyskali sobie wielkim stylem twórczości zasłużoną opinię twórców hiszpańskiego teatru narodowego, byli Lope de Vega i starszy od niego o lat 38 Calderon.

Warto zdać sobie sprawę z tego, że Hiszpania jest jednym z prekursorów w wytworzeniu teatru mającego własne, narodowe oblicze.

Lope de Vega żył w latach 1562 — 1635. Co działo się w tym czasie gdzie indziej?

We Francji istnieje już wprawdzie Illustre Theatre, ale nim ta dzisiejsza Comedie Francaise uzyska swój właściwy wpływ na historię, trzeba będzie czekać na Moliera (1622 — 1673) na połowę wieku XVII, a więc na czas, w którym Hiszpania opłakuje już Lope de Vegę, którego zastąpi, a pod względem artystycznym znacznie przewyższy, Calderon (1600 — 1681). Na odcinku tragedii szanse są równe. W Hiszpanii Calderon, we Francji wielki Corneille (1606 — 1684). A francuscy rówieśnicy Lope de Vegi? Chyba Hardy (1570 — 1632), chyba Rotron (1609 — 1650) oryginalni może jako pisarze, ale jak że chętnie szukający zapożyczeń tematycznych właśnie u autora „Owczego źródła".

We Włoszech współczesnym Lope de Vegi jest Torquato Tasso, twórca dramatu pasterskiego (favola pastorale) autor „Aminty". Są to czasy już po „Mandragoli" Machiavela, chyba po „Il Candelais" Giordano Bruno, a więc czasy, które stanowią chlubę tradycji teatru włoskiego. Jednakże przyjdzie jeszcze długo czekać na twórcę włoskiej komedii Goldoni'ego (1707 — 1793) i jego odpowiednika w tragedii Alfieri'ego (1749 — 1803). To są sąsiedzi najbliżsi. Lepiej jest dalej. W Anglii równocześnie z Lope de Vegą króluje młodszy od niego o dwa lata Szekspir. A w Polsce... 12 stycznia 1578 r. w Jazdowie pod Warszawą, z okazji ślubu kanclerza Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną wystawiono po raz pierwszy „Odprawę posłów greckich".

Dokonane wyżej zestawienie dat ułatwi sądzę uzyskanie właściwej miary dla oceny twórczości Lope de Vegi. W widowiskach jego nie trudno dopatrzeć się śladów przeszłości. Ważniejsze jest jednak to, że już w „Owczym źródle" na przykład rysują się cechy zupełnie oryginalne, a wskroś nowożytne.

Szekspir doprowadził do perfekcji równoległe prowadzenie wątków tragicznego i „błazeńskiego". Trudno byłoby ustalić czy Lope de Vega znał twórczość Szekspira, albo co powstało wcześniej „Twelfth Night" 1600), czy „Owcze źródło". W każdym razie jeden z bohaterów „Owczego źródła", Mengo, ma ten sam rodowód co galeria typów komediowych Szekspira. Cechą zgoła zaskakującą widza oglądającego „Owcze źródło" są silne, wręcz jak na owe czasy rewolucyjne, akcenty społeczne tej sztuki.

Mieszkańcy „Owczego źródła", zwykli chłopi, nie szlachcice, zbyt może w stosunku do prawdy historycznej światli i uświadomieni, buntują się przeciw ciemiężcy. Na novum tego rodzaju nie wiele krajów mogło sobie pozwolić. Ciekawą jest droga jaką obrał Lope de Vega, by zrealizować swój zamiar. Przez długi czas owcze źródło słyszy dzwon nie zdając sobie sprawy skąd głos jego dochodzi. Świadomość krzywdy nie może przebić grubej powłoki wiernopoddańczości. Mówi się o terrorze, o zbrodniach prześladowcy, ale ze słów tych nie wyciąga się konsekwencji. Owcze źródło upodabnia się do beczki prochu — trzeba tylko iskry. I wreszcie na proch pada iskra. Przyjmuje ona na się postać Laurencji, dziewczyny przypominającej do złudzenia swą poprzedniczkę sprzed lat pięćdziesięciu, Joannę d'Arc. Następuje wybuch. Rezultaty jego jednak są nikłe. Nie myśli się o zmianie systemu życia — szuka się tylko innego pana, który może być lepszy, ale może być również bardzo podobnym do komandora Gomeza.

Czy myśli Lope de Vegi nie wychodziły poza to rozwiązanie, czy też chciał on możliwie wiernie przedstawić mentalność chłopa hiszpańskiego? Raczej to pierwsze. Pamiętajmy: Sztuka pisana była na początku XVII wieku. Społeczna myśl „Owczego źródła" i tak zaskakuje śmiałością.

Możność obejrzenia „Owczego źródła" zawdzięczamy oczywiście Bronisławowi Dąbrowskiemu. Któż by poza nim zdobył się na tak ryzykowny eksperyment? Czyż nie prościej jest iść ścieżkami wykarczowanymi przez innych? Dąbrowski jest odważny. Nie przeraża się tym, że sztuka ma lat mniej więcej trzysta, nie przeraża się tym, że nikt jej dotychczas w Polsce nie wystawiał. Wykorzystuje okazję dorwania się do poetyckiego przekładu L. H. Morstina i kosztem długich a żmudnych wysiłków tworzy spektakl o wartości wykraczającej poza najwyższy poziom widowisk polskich. „Owcze źródło" to spektakl, którego nie powstydziłby się żaden chyba teatr w Europie.

Inscenizacja Dąbrowskiego spotkała się z ciekawą reakcją publiczności. Chciało się nieraz wołać: ależ, przepraszam, to już widziałem w „Śnie nocy letniej", tamto do złudzenia przypomina u Horzycy wystawione „Życie snem" Colderona. Pełna dramatycznego napięcia scena buntu przypomina znowu w rozwiązaniu inscenizacyjnym (ruch — rozplasowanie postaci), przedwojenną robotę Schillera w opracowaniu „Juliusza Cezara". To wszystko prawda. Tylko... Szekspir, Calderon to współcześni Lope de Vegi. To, co chciało się uznać za błąd staje się zaletą. „Owcze źródło" nie odrywa się od epoki. A że epokę tę znają równie dobrze Schiller, Horzyca i Dąbrowski, to może być im tylko uznane za zasługę.

Dąbrowski nie należy na szczęście do tych co pokazują Hamleta we fraku. I tę cechę należy oklaskiwać. Świetność spektaklu podkreśliły doskonale barwnością, ekspresją i przejrzystością dekoracje Andrzeja Pronaszki. Poszczególne obrazy widowiska (a było ich czternaście) łączyły ze sobą równie skrupulatnie opracowane intermedia, z których największe uznanie zdobyła sobie „Walka rycerzy". Dobrym uzupełnieniem twórczego wysiłku inscenizatora i scenografa były fragmenty choreograficzne w opracowaniu Maryny Broniewskiej i, stosowana do niektórych scen, ilustracja muzyczna Witolda Krzemieńskiego.

Z olbrzymiej listy wykonawców, jeśli można to w tym właśnie wypadku uznać za celową, wyróżnić pragnę w pierwszym rzędzie chlubnie znaną już z „Klątwy" Zofię Rysiównę (Laurencja), Kazimierza Opalińskiego, doskonałego wykonawcę roli Menga, Jerzego Leszczyńskiego (Komandor), Gustawa Holoubka (Barrildo) i Władysława Sheybala (Frondoso) mimo, iż niezupełnie jeszcze otrząsnął się on ze wspomnień „Kaprysów Marianny".

***

Do Krakowa na spektakl „Owczego źródła" trzeba uruchomić pociągi popularne.

Mieczysław Markowski

jest jeszcze tylko Wielkim Budowniczym wszechświata, odległym, sprawom ludzkim obcy. Słowem — Bogiem pojmowanym deistycznie.

Artysta sięgnął bardzo wysoko skoro w sposób tak subtelny, że przez wielu nierozpoznany podobnie jak w życiu, stworzył na scenie obraz rzeczywistości tej, która jest.

Drugą myślą przeplatającą cały utwór między szeregiem problemów filozoficznych, jest sprawa Elżbiety.

Sama Elżbieta jest już tym człowiekiem, który w swej naturze kryje źródło konfliktów prowadzących do tragedii. Bujnie rozwinięta osobowość i szczodre wyposażenie przez przyrodę czyni ją obcą środowisku, w którym żyje. Innego zaś środowiska nie ma. W mieście może się jedynie „stoczyć", na wsi nie ma dla niej miejsca, a ten światek ludzki jest z nią niewspółmierny. Porozumienie nie jest możliwe.

Postać ta jest typem kobiecym, któremu Zawieyski poświęca uwagę pisarza po raz drugi. Elżbieta jest siostrą duchową Teresy z „Drogi do domu". Typ ten znalazł pełniejszy wyraz w wiejskiej dziewczynie, niż w docencie archeologii. Elżbieta jest postacią w samej swej psychicznej konstrukcji tragiczną. Nosi w sobie ziarna wypadków przyszłych. „Zawsze w niej było coś takiego... — mówi Michał — jakby już przedtem nosiła to, co się później stało...". Dziewczyna o naturze, w którą łasy złożyły tajemnicę swych pieśni, stawy — ciszę, wichry — tęsknotę, kwiaty — barwę, słońce — siłę i blask, a noc, ciemna noc — mrok nieprzejrzany, nie rozumie własnej potęgi i nie ma jej dokąd skierować, jest wobec niej bezradna. Kobieta dziwna, a tak bardzo prawdziwa. Wszystko co czyni, co przeżywa, jest naturalnym odruchem jej psychy nakreślonej przez pisarza po mistrzowsku. Tym, co zniewala mężczyzn, jest nie tyle jej czar zewnętrzny, co siła wewnętrzna i głębia, którą pokrywa spokój. Człowiek czym silniejszy, tym łatwiej i mocniej przywiązuje do siebie innych. Gdy ma dużo spokoju szukają go w nim ci, którym go brak, a tych jest zawsze bardzo wielu. Ta moc i spokój są jej wrodzone równie jak uroda i czar. Sąd Krasińskiego, że „pierwiastek cnoty i zbrodni jest jeden — moc ducha, tylko kierunki różne" — znalazł tu przykład najwymowniejszy. Zbrodnia wywołana impulsem jej natury nie jest zawiniona. Rozkochanie wielu mężczyzn nie jest jej grzechem, lecz tragedią. Elżbieta należy do tej kategorii wyjątkowych postaci, które przechodząc przez piekło świata pozostają czyste. Jej niepokój wewnętrzny i życiową tragedię wywołuje dopiero świadomość, że to ona, choć bez udziału woli, jest przyczyną nieszczęść wielu spotkanych ludzi.

Teatr Klasyczny oddał tragedię kobiety o tyle lepiej, że żywa i barwna gra p. Gorczyńskiej wysunęła ten aspekt sztuki na plan pierwszy tym więcej, iż kreacja księdza Jana przez p. Żabczyńskiego odbiegała daleko od tej wizji wielkiego personalisty, jaką stwarza sama lektura sztuki. Obsadzenie roli Elżbiety stanowczo nie było trafne. Nie dla tego, że następstwem było podkreślenie jej problemu, ale dlatego, że sylwetka sceniczna p. Gorczyńskiej nie odpowiada zupełnie mocnej i głębokiej postaci Elżbiety.

Aleksander Gella

A. Ł.

A jednak... się obraca!

SPOWIEDŹ MĘTNIAKA

Nie ma co ukrywać. Przyszpilili mnie w dwóch czasopismach, — teraz próbują ośmieszyć.

Uczniowie Słonimskiego! Zawsze ta sama metoda. Że — niby mętniak i detol, że nic nie można zrozumieć. Że, — bełkot!

AKT POKORY

Pisarz pragnący się rozwijać, musi brać pod uwagę i to, że jego przeciwnik ma rację. Tylko w tym wypadku, krytyka przyda mu się na coś, pobudzi do pracy nad sobą i uchroni od przyszłych katastrof.

„Niech pan czujnie sprawdza swe determinanty", zwykł był mawiać, znakomity nasz Eiger-Napierski a Irzykowski dodawał: Młodzieńcze! Jeżeli kiedykolwiek pogrążysz się w megalomanii, wszystko będzie dla Ciebie stracone. Niechaj kształtują cię najzłośliwsze sądy współczesnych. Wysoko ceń ludzką bezwzględność. Jedynie w surowej szkole, wychodzi się na człowieka. Wielkiej twórczości, zawsze towarzyszą mocne zadraśnięcia.

PRAWO DO KOPNIAKA

Było do przewidzenia. Biegli w piśmie oświadczyli zaraz, że lansowanie kierunku literackiego, pod nazwą ekstazy kontynentalnej, to delirium tremens, niepoważne i w ogóle nonsens.

Powiedzmy. Lecz zanim podwinę ogon pod siebie i dam za wygraną, pozwolicie mi się wytłomaczyć. Być może nie jestem aż tak głupi jak sobie tam wyobrażacie. Zresztą — wolno wam! Gdyby literaci nie mieli prawa do uważania się nawzajem za idiotów, ubyłaby im satysfakcja niesłychanie życiowo istotna. Ostatecznie dzięki temu, własne samopoczucie człowieka zawsze staje się cokolwiek lepsze. Dlatego, każdy musi mieć swojego durnia, którego publicznie ujeżdża.

To w jakiś sposób uwalnia od własnego kompleksu niższości. Bez dobrej porcji wymyślań, nie utrzymałaby się u nas żadna hierarchia nazwisk literackich. Kto siedzi na górze lubi sobie od czasu do czasu spojrzeć na dół i od niechcenia kopnąć kogoś w tyłek. To go w osiągniętej pozycji utwierdza i stwarza okazję do miłych sercu porównań.

Oczywiście te role czasem się odwracają, ale na ogół rzecz biorąc, prawo do lekceważenia, daje ludziom tyle przyjemności, że ani myślą go komukolwiek odmawiać. Niech, że se jak mówił Wyspiański. Historia przyzna mi rację.

A teraz do rzeczy najmilsi. Zaraz powiem na czym polega geneza ekstazy kontynentalnej. Spróbuję zaprzestać bełkotu i mówić o sprawach irracjonalnych w języku dostępnym.

EMPIRYCZNIE MOI PANOWIĘ

Ekstaza nie jest wymysłem. Istnieje jako rzeczywistość bezpośrednio dostępna widzeniu. Powiedział ktoś: Delirium tremens!... Proszę bardzo, uchwyćmy się tego i dalej... Usiądźcie sobie w pierwszej lepszej knajpie, popatrzcie na ludzi, łapczywie wódkę żłopiących. Nikt mi nie zdoła zaprzeczyć, że w Polsce i w całej Europie, przejawia się masowy pęd do odurzenia. Silniejszy niż kiedykolwiek. To statystycznie stwierdzono.

Rozmawiałem w tej sprawie z lekarzem specjalistą. Przyznał: Tak jest jak pan mówi. Natura ludzka ciąży w kierunku ekstazy. Istotnym motywem jej dążeń, jest głód upojenia. Nie tylko dziś, ale zawsze.

Na tym oparłem moją filozofię. Nie na spekulacji. Na spostrzeżeniu dawno dla wszystkich dostępnym. Bo rzeczy wielkie są proste. Na to się nic nie poradzi.

JAJKO KOLUMBA

Idźcie sobie w Aleje. Zajrzyjcie do ogrodu botanicznego. Parki siedzące na ławkach, zilustrują wam moją teorię.

Pewnie. Erotyzm jest wieczny, ale sposób przeżywania tych wzruszeń, zmienia się w ciągu stuleci. Nie ma dziś romantycznych kochanków i młodopolskich uniesień. Tamte stylę minęły, nowego nikt nie wysłowił. Gdzie nasza wersja miłosna? Każda epoka dodawała coś do tych doświadczeń. Inaczej je pojmowała. Wiek 20 nie stworzył w tej dziedzinie jakiejś zaraźliwej i sugestywnej konwencji.

Gdzie mierzyć mu się z romantyzmem. Po egzaltacji pozostała pustka.

I kłopotliwe milczenie. (Brak słów nie wyklucza ekstazy. Być może ją nawet wyzwala).

EKSTATYCZNE STANY OPĘTANIA

A teraz jeszcze jedna propozycja. Kto ma cierpliwość, niech otworzy radio. Wtedy, kiedy stacje zagraniczne puszczają płyty, nagrane podczas wieców hitlerowskich, w celu wykazania psychopatycznego charakteru owych masowych uniesień. Tak było. Jeden człowiek krzyczał, miliony się zachłystywały tak długo, aż wpędził je w katastrofę. Ekstaza, jakże często przybliża ludzi do śmierci! Starożytni przeczuli ten proces.

Niedawno ktoś streszczał mi wypowiedzi lotników amerykańskich. O tem jak przestrzeń uderza do krwi, jak z każdym oddechem rozrasta się w piersiach odległość... Macie, to znowu jest to: Życie jako ekstaza.

Zabójcza i niszczycielska. Na szczeblu wiecowym na pewno. Lecz samo doznanie nie da się sprowadzić do jednego bodźca. Występują tu liczne odmiany. Każda wymaga innego wartościowania i odmiennej oceny moralnej.

WŁADZA JAKO NARKOTYK

Zdolność ustokrotnienia swej osobowości w działaniu innych ludzi, — w tym także wyraża się wola osiągnięcia pełni, za pośrednictwem poruszanego przez siebie układu krążenia. Wspólnota pomnażająca gwałtowność istnienia członków indywidualnych, — to nowe poczucie życia interesuje nas w sposób szczególnie istotny. Potwierdza przyjętą zasadę. Historia dostarcza konkretnych przykładów, upojenia władzą. Nie potrzeba ich tutaj przytaczać. Są zbyt dobrze znane.

Co czynię? Rejestruję po prostu wieczne namiętności ludzkie, — te które doznały niezwykłego spotęgowania na tle dzisiejszej epoki. Twierdzę, że życie zawsze było dążeniem do stanu ekstazy. W wielu wypadkach, — tragicznym.

Czy to naprawdę jest takie strasznie głupie? Czy nie ma w tym elementów słuszności absolutnej? Są! Więc pocóż mówić o jakimś bełkocie, o niezrozumialstwie o delirium tremens?

Widzę w tym przede wszystkim jedno: Chęć ucieczki przed zagadnieniami, wywołującymi bezradność intelektualną. Kto nie wie co ma powiedzieć, ten woli się wykpić jakimś naśladowaniem najmniej dowcipnych chwytów Słonimskiego. Ten zawsze w identyczny sposób, rejterował przed Witkiewiczem i przed Irzykowskim. Zamiast rzeczowo z nim polemizować, opisywał jaką Irzykowski ma bródkę i spodnie. To był właśnie ten kabaretowy, przedwojenny poziom, na użytek zahukanych półinteligentów.

Kontynuacja bezmyślnej tradycji jest czymś wyjątkowo żałosnym.

Powody dobrze rozumiem. Tak zwany irracjonalizm został wyklęty. Co więcej utożsamiony z faszyzmem. Jakgdyby go przed tym nie było! W pojęciu pewnych nieuków dopiero się świeżo pojawił. Nonsens! Empiryści, pozwólcie sobie powiedzieć, że ta tendencja nigdy nie występuje w czystej i oderwanej postaci. Do każdego szaleństwa dorabia się jakąś metodę, nawiasem mówiąc, nader racjonalną. Totalizm znał planowanie. Potrafił być pedantyczny w niszczeniu.

Żadna emocja, nie może się obejść bez intelektu. Ona stanowi tylko siłę popędową. Kiedy przychodzi jej działać, porusza całą wolę i wszystkie myśli w człowieku. Kto wierzy dziś w szkolne podziały? Filozofia strukturalna dawno je obaliła. Ujmujemy wszystkie zjawiska w ich powiązaniu wzajemnym.

W proporcjach jedynie właściwych dla organicznej całości.

Nie wartościuję w tej chwili zjawiska ekstazy kontynentalnej. Stwierdzam tylko, że ona istnieje. Literatura będzie ją wyrażać.

Życie to głód upojenia. Hierarchia doznań, w obrębie których człowiek usiłuje przekroczyć swą miarę i pogrążyć się w niepoznawalnym.

Dlaczego dążymy do sztuki. Bo sztuka jest zbiornikiem wzruszeń. Zaspakaja potrzebę olśnienia. Żywą i bardzo istotną. Byt, który przestałby zmierzać do źródeł zachwytu, przestałby być wartościowy. Kłócimy się tutaj o słowa.

Powie mi ktoś, że socjalizm... O bardzo przepraszam. Socjalizm właśnie prowadzi do upowszechnienia istotnych dóbr kulturalnych. Chce udostępnić ludziom najwyższe rozkosze istnienia. U kresu jego założeń także widnieje ekstaza. Do woli potęgowania życia, sprowadza się każda przytomna i racjonalna doktryna. Mit powszechnego dobrobytu kryje w sobie możliwość nieznanych dotychczas uniesień. Wolno nam kwestionować jego areligijny charakter i podjąć dyskusję w sprawie celowości stosowanych metod, ale zasadniczy kierunek dążenia, nie może nam być obojętny.

W przyszłości, prawdopodobne są dwie cywilizacje ekstatyczna i neurasteniczna. Socjalizm w swoich ambicjach wyraźnie ku pierwszej się skłania. Dlatego właśnie głosi optymizm ludowy i wolę przekształcenia świata.

Nie zamykajmy oczu na fakt, że także formacje schyłkowe mogą mieć swoje olśnienia wcale nie gorsze od naszych.

ŚMIERĆ WYZWALAJĄCA

Pisze mi ktoś z zagranicy: „Miliony ludzi zginęło, a przecież istnienie nasze w tajemniczym związku z nimi, właśnie dopiero w tej perspektywie, nabiera niewysłowionej dotąd gwałtowności. W rysach i ruchach dziewcząt przebiegających słoneczne ulice, znajdujemy żywe, ustokrotnione odbicie tych, które leżą pod ziemią. Ekstatyczne poczucie niewyczerpanej ciągłości gatunku, ogarnia nas z nową siłą. Istnienie objawia się jako możliwość, każdej chwili gotową do przekroczenia swych granic.

ŚWIĘTOŚĆ

Czytajcie pisma mistyków! Św. Teresę wielką, św. Jana od Krzyża. Zobaczycie co osiągnęli po latach najstraszliwszego zmagania się z sobą. Literatura była dotąd historią ludzkiego upadku. Ma wyrazić narastanie świętości w człowieku. Jego zwycięstwo nad własną słabością wewnętrzną. Gdziekolwiek by dzisiaj nie spojrzał, wszędzie dostrzeże ów naczelny motyw. Na wszystkich piętrach i szczeblach egzystencji natchnionej tym samym dążeniem. Czym było by życie bez tego elementu, który je czyni istotnym: Nudną wegetacją.

(Dokończenie na następnej stronie)

W świecie...

PALESTYŃSKA PROBA

Po opanowaniu przez Żydowskie Siły Wojskowe Haiffy i Jeffy, w miarę zbliżania się terminu 15 maja, w którym to dniu ma wygasnąć mandat Wielkiej Brytanii nad Palestyną i rozpocząć ewakuację wojska brytyjskiego, a równocześnie nastąpić deklaracja Niepodległego Państwa Żydowskiego — napięcie w Palestynie rośnie. Od zamachów bombowych dokonywanych na hotelach i domach mieszkalnych, to żydowskich to arabskich — obie strony przeszły do regularnej walki zbrojnej, posługując się oddziałami wojskowymi. Podziemne wojskowe organizacje żydowskie Haganach i Zwei Lermi złączyły się w jeden korpus zbrojny; Arabi natomiast zasilani są przez wojska okolicznych państw arabskich, Transjordanję i Egipt, które z pominięciem wszelkich zobowiązań wynikających z podpisanej przez państwa arabskie karty ONZ-etu — zdecydowały się na jawną interwencję zbrojną w Palestynie. Wiadomości o wkroczeniu wojsk transjordańskich do Palestyny pod wodzą samego króla Abdullaha okazała się wprawdzie przedwczesną, ale bez specjalnego trudu można sądzić, iż państwa arabskie zdecydują się w najbliższym czasie na podobną interwencję. Oczekuje się, iż atak na Palestynę arabski nastąpi w dn. 15 maja. Ciekawe jak zachowa się Wielka Brytania w tej sytuacji związana z Transjordanią stosownym sojuszem militarnym. Król Transjordanii jawnie drwi sobie z wszelkich uchwał ONZ zalecających najpierw podział Palestyny, ostatnio zaś apelujących o zawieszenie broni między Arabami i Żydami.

Sprawa Palestyny jest próbą sił organizacji Narodów Zjednoczonych, mającej tak szczytne założenia i tak małe jak dotąd możliwości wprowadzenia ich w życie. Wynika to przede wszystkim z podstawowego faktu, iż Organizacja taka działać może tylko skutecznie w tym wypadku, gdy kraje nią objęte chcą się same stosować do jej zaleceń (a nie lekceważyć jak uczyniła to Transjordania), gdy główne mocarstwa zgodne są w swych podstawowych założeniach politycznych i mają jasno wytkniętą linię swego postępowania (a nie jak USA przejawiające w decyzjach Palestyńskich nieustanną chwiejność od „planu" podziału do „planu powiernictwa" i spowrotem), gdy nakoniec sama organizacja Narodów Zjednoczonych dysponuje dostateczną siłą zbrojną zdolną wymusić na nieposłusznych i nazbyt niesfornych kacykach narodowych posłuszeństwo swym najwyższym decyzjom.

Jeśli wszystkie te warunki nie zrealizują się w generalnej próbie ONZ-etu, jaką jest sprawa Palestyńska, — będziemy niestety smutnemi świadkami dramatu na Bliskim Wschodzie. Do Chin, Grecji — przybędzie jeszcze jedno krwawe ognisko wojenne: Palestyna.

PODZIAŁ NIEMIEC

Podział Niemiec realizuje się coraz bardziej niepokojąco. Ostatnio TASS wystąpił z komunikatem oskarżającym Anglosasów o nadużywanie prawa przelotów nad strefą ZSRR w Austrii. Jednocześnie rzecznik radzieckiej komendy w Berlinie stwierdza coraz dalsze wywożenie majątku ruchomego z stref państw zachodnich w Berlinie do zachodnich Niemiec. Podobno konferencja sześciu państw zachodniej Europy i USA zachodnio - niemieckiego, której tywnej decyzji utworzenia państwa w Londynie doprowadziła do pozyrealizacja nastąpić miała by jesienią bieżącego roku.

REPRESJE W LABOUR PARTY

Wskutek wysłania przez 37 posłów Labour Party depeszy przed wyborami do Socjalistycznej Partii Włoskiej z życzeniami jej zwycięstwa, co stoi w sprzeczności z polityką mn. Bevina, usunięty został z Labour Party poseł John Mills Plats.

EKSTAZA PRZESTRZENNA

To dobrze, że rozwój motoryzacji nie pozwoli nam nigdy zapomnieć o upojeniu odległością, przenikającą nas w ruchu, który jest źródłem ekstazy. Człowiek chce na nowo odtworzyć w sobie pełny obrót ziemi. I sprawić aby mu była podległą.

BRYNDZA

Bądźmy szczerzy. Sytuacja na wielu odcinkach jest zawstydzającą. W naszej literaturze miłosnej, nie ma wydarzenia na miarę romantycznego Wertera. Nie wytworzyliśmy w tej dziedzinie własnych wzorców odczuwania.

Typowy erotyzm bez stylu. Bez konsekwencji w kulturze. Trzeba dać filozofię miłości. Nie tylko powieść o niej.

Pijemy wciąż więcej. Cóż z tego. Nie towarzyszy temu żadna dialektyka, wywodząca się bezpośrednio z strefy odurzenia. Panowie, gdzie wasz „Statek pijany"? Co wydobyliście z wódki? Jakie widzenie świata? W około słyszę ciągle te same dekadenckie ryki. W tym wszystkim nie ma wielkości. To przypomina żyganie. Dalej. Jest do napisania powieść lub poemat, odtwarzający najwyższe satysfakcje poznawcze, olśnienia, towarzyszące odkrywaniu nowych praw i związków między zjawiskami. Bez tego nie osiągniemy czucia z rzeczywistością współczesną. Ekstaza kontynentalna to nie jakiś jeden oderwany fragment, lecz cały zespół emocji, ściśle związanych z akcją intelektu, z myślą badawczą i niespokojną, zmierzającą ku pełni istnienia.

Bądźmy szczerzy. Wszystkie płodne kierunki literackie, rodziły się pod wpływem zmiany samopoczucia irracjonalnego... Nowy zmysł życia je drą żył.

Tych rzeczy nie można wykombinować. Trzeba je stwierdzić i wyczuć.

Pseudoklasycyzm był tylko kompletem martwych konwencji, zupełnie jak ten dzisiejszy epigoński, spóźniony realizm. We Francji ludzie pękają ze śmiechu, że my tutaj po doświadczeniach olbrzymich lansujemy jakąś bzdurę z brodą. Martwy i beztreściwy schemacik.

KARIERA EKSTAZY KONTYNENTALNEJ

A tymczasem możecie się śmiać. Nic nam to nie przeszkadza. Nie zabiegamy o podbój jednego podwórka. Wasz śmiech będzie doskonałą odtrutką na megalomanię, w którą wpędza nas klijentela, wolna od kawiarnianych zastrzeżeń.

A. Ł.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego".

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Władysław Dunarowski, „Leżąc krzyżem", wyd. E. Kuthana, Warszawa — 1947, str. 279.

Nowa książka znanego już przed wojną autora „Ludzi spod miedzy" jest pozycją niesłusznie przemilczaną przez naszą krytykę literacką. Jej walory treściowe jak i formalne zasługują na uwagę.

Autor pokusił się o przedstawienie nagiej prawdy jednej z wiosek podkarpackich. Ukazał ludzi walczących rozpaczliwie o wydobycie się z zatrważającej nędzy. Zmagania bohaterów są tym tragiczniejsze, że wiadomo o jaką stawkę chodzi. Albo pozostaną na poziomie zwierzęcej wegetacji, zamkną się w istnieniu fizycznym, materialnym, skazani na wieczne spory o grubszy kawałek sperki na chlebie, o cieplejsze miejsce przy piecu, albo — znajdą obok butów, chlewika, chorej krowy i zoizowatego konia, zagadnienia szersze, myśli trochę głębsze, życie bardziej ludzkie. Moment walki uchwycony w „Leżąc krzyżem" to raczej moment osłabnięcia, moment próby kapitulacji, zniechęcenia i beznadziei. Ten pesymizm jest chyba jednym z najlepszych chwytów, targa czytelnikiem, powoduje do przemyśleń, woła o pomoc. Nie chce się wierzyć, że wieś przedstawiona przez Dunarowskiego, to nie osada jaskiniowców, to nie prymitywizm neandertalski, ale polski lud podkarpacki w okresie września 1939 roku! Ale uwierzyć trzeba.

Autor nadawszy swej książce charakter luźnej kompozycji, przesycił ją tyloma sugestywnymi okresami, nakreślił sylwetki z tak przekonywującym rozmachem epickim, wypowiedział ich ubóstwo duchowe tak plastycznym, chociaż czasami zbyt mocno nasyconym grozą i prowincjonalizmami językiem, że czytelnik czuje wyraźnie prawdę tych trudnych do czytania, bo wszystkich nas niemal o niesprawiedliwość oskarżających, kart.

Książka nie dla wszystkich stanowić będzie przeżycie. Tym, którzy szukają fascynująco — sensacyjnej fabuły nie da nic. Tym, którzy tęsknią do rozlewnych opisów da bardzo mało. Pisana jest zwartym, chwilami może nawet zbyt skondensowanym stylem, unika dygresji, główną wagę koncentrując na harówce, beznadziejnej, nieludzkiej wegetacji, na okropności życia zamkniętego w błędnym kole maluczkich, nieuniknionych w nędzy trosk o zaspokojenie głodu, o napełnienie brzucha.

W autorze poznać od razu zapowiedź tęgiego prozaika. Po przeczytaniu całej książki potwierdza czytelnik proroctwo Jerzego Putramenta, (Sygnały, nr 27) wypowiedziane na marginesie pierwszej książki Dunarowskiego. Rzeczywiście: „autor wykazuje wyraźnie, że proza jest czy będzie jego żywiołem".

Władysław Dunarowski, „Dni oczekiwania", sztuka ludowa w 3 obrazach, wyd. „Nauka", Bydgoszcz 1947, str. 44.

Przykra niespodzianka. Nie wierzymy oczom. Ten sam Dunarowski. Autor „Ludzi spod miedzy" i „Leżąc krzyżem". Jak to samo pióro mogło zgrzeszyć popełnieniem takiej ramotki? „Dni oczekiwania" były pewnie napisane w dniach oczekiwania na jakieś bardzo potrzebne honorarium. Ale nawet tak wyraźna potrzeba nie usprawiedliwia pisania rzeczy kiepskich literacko, płytkich psychologicznie, nieudanych scenicznie, chociaż — wyraźnych propagandowo.

Jan Huszcza, Miasteczko nad Olszanką. Wiedza, 1948.

Prześliczna książeczka. Niezwykle smutna i niezwykle wesoła. Niezrównany w karykaturowaniu prowincjonalnych grzeszków i staropolskiej pompatyczności autor „Impertynencyj" dał nam w obrazie nadolszańskich Zapadników kapitalne studium psychologiczno - socjologiczne Wiecznego Drobnomieszczanina. Galeria typów od Karaska, Alusia, Pawkiśkiewicza i Borowika do Dyrektorowej, Zinaidy czy matki Zuzi jest tak bogata i świetnie scharakteryzowana, wielki świat Zapadników tak doskonale podpatrzony, że chociaż czujemy wyraźnie ostry (czasami tylko: za ostry) ołówek karykaturzysty, trudno się oprzeć nieprzepartemu wrażeniu, że to jednak prawda. Bolesna, dla wyrazistości odrobinkę przejaskrawiona, ale prawda. Swobodna konstrukcja całości niezwykle inteligetnie kulminująca w okrutnie ostrej poincie sprawia, że książkę czyta się jednym tchem. Lekki styl, tak doskonale znany z felietonów Huszczy, dzięki coraz to żywiej tryskającym racom świetnych dowcipów i kalamburów, podnosi walory „Miasteczka nad Olszanką". Intymny ton autora - narratora, niby przeżywającego wydarzenia zapadnikarskie i niby solidaryzującego się z poglądami zapadnikowskiej elity, przyjacielskie zwroty „do czytelnika" przypominające ten doskonały chwyt z książki Nowakowskiego „Start Edmunda Sulimy" dają możności przeciwważenia w gruncie rzeczy smutnych treści, jakie pod szminką błazna ukrywa książeczka Huszczy. Bo Zapadniki są straszne, Wielki Drobnomieszczanin jest przerażający, Karasek ohydny, Aluś — bezczelny, całość — tragiczna. I chyba największą zasługą Huszczy będzie to, że gdy swą książeczką ubawi czytelnika — przestraszy go jednocześnie i poruszy w nim myśl bolesną, smutną a prawdziwą.

Zyg. Lich.

J. J. Szczepański

Przyczynki do Sprawy Wolfa

7

WIE pan, tam u Ciotki, kiedy dowiedziałem się od Romka o Andrzeju, byłem, mimo wszystko cośmy mówili, wewnętrznie pewny, że Andrzej nie przyjdzie. To nie miało sensu... Tak, pan się uśmiecha, pan myśli, że jestem mistykiem. Niech będzie. I zresztą... zresztą może to jest jakaś głupia obsesja. Ale proszę pana, czy gdyby się to panu zdarzyło, przeszedłby pan nad tym do porządku dziennego? Czy śmierć Wolfa nie wydawałaby się panu po tym wszystkim jakimś potwornym, nieludzkim żartem?

A przecież myśmy starali się dotrzymać prawideł gry. Przez czas tych trzech, czy czterech miesięcy, kiedy nagonka trwała, żaden z nas nie rozstawał się ze swoją dawką cjankali, ukrytą w wydrążonym orzeszku...

Chociaż, jeżeli chodzi o mnie, ja cały czas wierzyłem w prawdziwość znaku. Wolf — on patrzył trzeźwo na rzeczy. W każdym razie nie dawał nic poznać po sobie... ale i on chyba uległ sugestii. Dopiero pod sam koniec poczuł śmierć. Mnie wtedy nie było. Nie było na miejscu nikogo z tych, co mogliby byli mu pomóc. Opowiadała panu Docia? Eh! Nie ma sensu gadać o tych rzeczach. Tu nie ma nic konkretnego.

Melinę w Miechowskim ja mu znalazłem. On koniecznie chciał iść do egzekutywy. Mam rachunek do wyrównania, — powiedział mi, kiedy usiłowałem mu to wyperswadować. Wiedziałem o tym. Pamiętałem dobrze nasze pierwsze spotkanie w 1939 r. Dałem mu kontakt do egzekutywy. Nie wiem czy i jaki z niego zrobił użytek. Bo Matylda go nie puszczał. Trzymał nas obu aż do chwili śmierci Romana. Potem i mnie pozwolił się przenieść...

Tyle razy byliśmy w mieście, tyle razy każdy z nas miał okazję wpaść!

Skąd ruszył ostatni atak? trudno powiedzieć.

Niektóre fakty zdają się nadawać, do ułożenia z nich pewnego logicznego ciągu.

Na krótko przed zabójstwem Wolfa, był zamach na Andrzeja. Nieudany niestety. Tego zamachu myśmy nie robili. Wydaje mi się niemal pewnym, że był on dziełem dawnych towarzyszy Romana. W tym też czasie rozeszły się po mieście pogłoski, że Wolf jest niepewny. Pan spotka się jeszcze z tą opinią. Niech pan temu nie wierzy. Zaklinam pana, niech pan nie daje posłuchu żadnym oszczerstwom! Ja za Romana ręczę. Ręczę moją głową, moim honorem, czym pan chce. Wiem, że widywał się z Zuzą, wiem że Zuza popadła ostatnio w zażyłość z Andrzejem; wiem to wszystko. Ale ja go znałem, znałem nie tylko jako przyjaciela, ale i jako wroga. Niech pan przyjmie moją gwarancję, jako jedyną rzecz stuprocentowo pewną w całej tej sprawie. Na poparcie jakichkolwiek oskarżeń nie ma absolutnie dowodów. To jest wszystko, co mogę panu powiedzieć.

ZEZNANIE PANI M.

Od stacji kolejki wąskotorowej jedzie się gliniastą, polną drogą, która w czasie letnich upałów, spękana rysami głębokich kolein, dźwięczy głucho i pusto pod kołami wozu. Pagórkowaty teren wznosi się i opada, droga wrzyna się głębokim jarem w mieszany las, roztrzepotany milcząco plamami zielonego blasku, pachnący cierpko i słodko, drgający łagodnymi głosami znużonych ptaków.

Tym parowem, w chłodne, szare świty, kiedy księżyc obumierał blado na wysokim niebie, żyłkowanym czarną mozaiką gałęzi, chadzał niedawno Wolf, aby pierwszym pociągiem osiągnąć Kraków w umówiony, pierwszy wtorek dekady. W zaciśniętej dłoni, pod rękawiczką trzymał złożony twardo arkusik raportu, w małej kieszonce wiatrówki, na piersi, wyczuwał skórą nieodstępną okrągłość śmiercionośnego orzeszka. Dalekie miasto napełniało go dreszczem niecierpliwości, nęciło smakiem przygody, ciemnym blaskiem pewnych oczu, tak niebezpiecznych, a tak niezbędnych.

Obnażone z gruntu korzenie sterczą zawile i kręto ponad głowami jadących, obrośnięte w grudy spieczonej gliny, w zetlałe pajęczyny mchów. Poniżej, mroczne ściany wąwozu ukazują fryz czerwonych, sinych i żółtych nawarstwień, przebitych tu i ówdzie czarnym oknem króliczej lub lisiej jamy. Jedzie się popod lasem, popod jego najtajniejszą głębią, gdzie rozgałęzione, odwieczne karcze tworzą sklepienie i wysoko ponad głową ślizgają się jaszczurki wśród krzepkiego gąszczu czarnych jagód. Potem tunel wznosi się stromo i poza ostatnim zakrętem wypada w oślepiający blask szerokiego płaskowyżu o dalekich, niebieskich horyzontach.

Jest tu jedno takie miejsce, gdzie do niedawna, człowiek tutejszy, wiozący przybysza odwracał się ku niemu i wskazując batem jakiś punkt wśród rozfalowanego zboża, objaśniał: „O, tam gdzie ten krzyż, tam „Jędrzki" zatłukli jakiegoś miemca."

Teraz zboże już zżęto i krzyż widać wyraźnie ale furman woli powstrzymywać się od komentarzy; bo na małej tabliczce, na której wydrapane kopiowym ołówkiem słowo „Wolf" rozpływa się fioletowo, dopisano szkolnym, dziecinnym pismem jeszcze dwa wyrazy: „żołnierz polski".

Ludzie, jak ludzie, — zawstydzeni, poukładali pod brzozowym drewnem chude wiązanki polnych kwiatów.

Czy to można wiedzieć w dzisiejszych czasach kto kogo i za co zabija?

Stąd widać już dwór. W płytkiej, zacisznej kotlinie, wystaje spośród kępy szarych jesionów podwójny, zielonkawy dach i błyszczą poprzez krzewy białe, pękate kolumienki ganku. Piękne miejsce wybrała śmierć dla Wolfa.

W zagraconym, spłowiałym i ciemnawym saloniku, pani M. milcząca, chuda, koścista, robi na drutach. Jej bladą twarz o grottgerowskim profilu kształtowały celebrowane uroczyście narodowe żałoby, między którymi dwudziestolecie było okresem niepojętych wysiłków. Rzeźbił te rysy zbożny zachwyt Louvrów i Pinakotek, oglądanych w młodości, nawyk surowej filantropii i duma odwiecznych posiadaczy ziemi.

Szczupłe ręce pani M. nie zaznały pewnie nigdy pracy, ale ich posiadaczka wie, że próżniactwo jest grzechem, to też w czasie rozmowy „oczka" mnożą się i czarny rękaw rośnie, jak za sprawą magii. Obok na stoliku leżą otwarte „Przyświadczenie Wiary" Newmana.

Ta piękna, stylowa pani jest niewątpliwie w swoim rodzaju doskonałością.

Kiedy z głębokim westchnieniem mówi: „ach, pan Wolf!", a suche jej palce splatają się, nie upuszczając błyszczących drutów, czuję, że sprawa, która mnie tutaj przywiodła żyje w tych ścianach, ale żyje osobliwie. Nie jako zagadka, którą należy wyświetlić, ale jako jedna z tych, historii, których nie wyświetla się nigdy, które przechodzą na własność domu, zajmują swoje miejsce w archiwum melancholijnych, rodzinnych dramatów, dramatów rosnących przez wieki w olbrzymie, tajemnicze kolekcje.

Mógłbym pytać mieszkańców dworu o rok 63-ci, o 30-ty i dawniejsze jeszcze dzieje. I wiem, że jeżeli ten podwójny dach przetrwa wszystkie obecne zawieruchy, przetrwa pod nim i pamięć Wolfa.

— — — — — — — —

Pana Wolfa polecił mi mój kuzyn Bystrzycki z Sobieszowa. Potrzebowałam nauczyciela dla córki. Córka robi właśnie pierwszy rok chemii. Przy dzisiejszym braku podręczników konieczna jest pomoc.

No, więc ten biedny pan Wolf przyjechał. Ledwo mi się przedstawił, wiedziałam już że on na pewno nie nazywa się Wolf i że jest w bardzo złej skórze. My tu proszę pana mamy doświadczenie w tych sprawach. Już X osób ukrywało się w tym domu. W naszych stronach nie ma dworu, w którym nie mieszkałby ktoś w podobnej sytuacji. O tym się nie mówi, ale wszyscy traktują to jako zjawisko zupełnie naturalne. I to nie jest nic nowego. Mój Boże! Pod tym dachem zatrzymywał się kiedyś Langiewicz, leżeli tu ranni z oddziału Beliny. Tak proszę pana; nasze doświadczenie datuje się nie od wczoraj.

Wolf — to Wolf. Niech będzie i tak. Nie pytałam go o nic. Powiedział, że woli załatwić swoje formalności meldunkowe sam, więc już zupełnie nie wtrącałam się do jego personaliów.

Mój kuzyn, proszę pana zaręczył za niego i dodał, że temu młodemu człowiekowi warto pomóc. Zrozumiałam. Bardzo miły, dzielny, wartościowy chłopak był z niego. Naprawdę stał się dla nas kimś bliskim, jak członek rodziny. Biedaczysko! I córka masę skorzystała przez ten czas, co on był z nami. Taki był niesłychanie sumienny, obowiązkowy, dokładny. A przy tym jaki wesoły, jaki skromny. Naprawdę wyjątkowy chłopak.

Co za okropny los, niech pan powie! Do dziś dnia nie możemy się z tym pogodzić.

Ta nieszczęsna matka. — Nie znam jej, ale wyobrażam sobie, jak ona musi cierpieć. Podobno był jedynym synem. Straszne... straszne...

Tylu młodych ginie. Nie dalej jak tydzień temu zmarł w sąsiedztwie, u Korowiczów, administrator. — To też był jeden z tych ukrywających się. Uciekinier z Oświęcimia.

On tutaj nawet często przychodził do pana Wolfa. Mieli jakieś wspólne tajemnice, jeździli gdzieś razem, naradzali się nad czymś. To on właśnie zawiózł do Krakowa wiadomość o jego śmierci. Od niego byłby się pan z pewnością dowiedział ciekawych rzeczy. Ale cóż; i ten też nie żyje. Gruźlica. Nabawił się gruźlicy w tej katowni.

Tak, tak... jeden za drugim, jeden za drugim. Ubywa was, giniecie, — właśnie wy, których życie jest najcenniejsze, których Polska potrzebuje najbardziej.

Niech mi pan powie: czy to tak musi być?

Czy te wasze władze zdają sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności?

Zresztą, to nie moja rzecz. Wiem o tym. Ale to człowieka tak boli... Matki też powinny tutaj mieć coś do powiedzenia. Wy... wy jesteście ofiarni. Ja wiem. U nas krew zawsze była tania.

Taki Wolf, proszę pana; toż to mógł być kiedyś wielki uczony. O wszystkich, którzy giną, mówi się, że to właśnie najlepsi. I naprawdę tak jest. Gdzie spojrzeć, zamykają się oczy, sztywnieją ręce, dla których świat byłby materiałem do jakiegoś dobrego dzieła. Tchórze siedzą w domu, robią interesy, a wy chłopaki... Ach Boże!

Pan chciał usłyszeć jak się to stało?

Mówiłam panu już, że nigdy nie starałam się wniknąć w prywatne sprawy pana Wolfa. Wiedziałam jednak, że się ukrywa. I nawet powstał między nami tak nie umówiony układ, że, kiedy o jakiejś niezwykłej porze pukano do drzwi, wołałam w stronę jego pokoju: „panie profesorze, ktoś stuka". W tym czasie często przychodzili do nas ludzie z lasu, czasami nawet bandyci.

Pan Wolf chętnie rozmawiał z tymi gośćmi. Oglądał ich broń, pytał o różne rzeczy, czasem nawet wychodził z nimi, żeby pokazać drogę, albo w czym pomódz.

W ogóle w czasie tych wizyt on bywał jedynym męskim przedstawicielem dworu, bo nasz rządca, jak sam utrzymuje, jest bardzo nerwowy i woli trzymać się z dala od każdego, kto posiada nabity rewolwer.

Raz nawet wydarzyła się taka zabawna historia: przyszli jacyś ludzie, co do których nie mogliśmy się zorientować co oni za jedni. Początkowo wygłaszali bardzo patriotyczne przemowy... wreszcie zażądali zegarków i pieniędzy. Pan Wolf uniósł się wtedy, nawymyślał im od „bandziorów" i nawet wybiegł za nimi, mimo, że była już noc i zdołał odebrać im taki pamiątkowy zegareczek, który mam po mojej babce. — O ten właśnie. Nie chodzi już, ale to bardzo kochana, rodzinna pamiątka.

Odważny był. Ja proszę pana bardzo się wtedy przelękłam, żeby mu czego nie zrobili te rzezimieszki.

Owej fatalnej soboty, pan Wolf był jakiś nieswój. W ciągu tygodnia jeździł dwukrotnie do Krakowa i przypuszczałam, że miał tam może jakieś przykrości, bo stał się małomówny i przygnębiony. Poprzedniego dnia wrócił bardzo późno z kolei. Rano, w czasie lekcji, utknął na jakimś zadaniu, co mu się nigdy nie zdarzało i zirytował się do tego stopnia, że odłożył książki i przerwał wykład. W chwilę potem przyszedł do mnie i poprosił o dziesięciodniowy urlop. Chciał jechać do Zakopanego i to już, wieczornym pociągiem.

Córka miała za dwa tygodnie zdawać egzamin, to też ta propozycja była mi ogromnie nie na rękę. Człowiek zawsze patrzy na rzeczy z punktu widzenia swego interesu. W owym momencie nie pomyślałam o tym, że ten człowiek ma przecież to jakieś swoje nieznane, niebezpieczne życie, wobec którego nasze sprawy są błahe, mało ważne. Tutaj, wie pan, dni płynęły tak spokojnie, że utrwaliło się u nas złudzenie jakiejś normalności wszystkiego... Zareagowałam tak, jak zareagowałabym przed wojną na podobną propozycję płatnego korepetytora. — Jakto — powiedziałam, — pan chce nas opuścić w takiej chwili panie profesorze?! A co będzie z egzaminem?

Gdyby był się uparł, gdyby choć słowem odwołał się do swojej właściwej sytuacji, na pewno potrafiłabym się opamiętać. Ale on skapitulował natychmiast, przyznał mi rację i wrócił do przerwanej lekcji. Ja nawet miałam potem taki odruch, żeby iść do niego i powiedzieć, że owszem, że niech robi to, co uważa za słuszne, ale wydało mi się, że to byłaby może zbytnia miękkość. Ostatecznie on zgodził się tak łatwo. A nuż byłby się rozmyślił? Poczułam się odpowiedzialna za przyszłość mojej córki, powiedziałam sobie, że nie wolno mi zaprzepaścić żadnej szansy w takich ciężkich warunkach kształcenia. Boże, Boże! Gdybym mogła przewidzieć!

To co panu opowiadam, to jest najboleśniejsza sprawa mojego życia. Nigdy nie potrafię sobie tego wybaczyć, ani zapomnieć.

Tłumaczę sobie nieraz, że przecież każda matka na moim miejscu postąpiłaby tak samo. Ale co to może zmienić? — Była taka chwila, że jednym słowem mogłam uratować życie człowieka...

Do końca dnia pan Wolf zachowywał się bardzo spokojnie i tylko był jakgdyby przygaszony. Spytałam, czy mu co dolega. Odpowiedział, że boli go głowa.

Po kolacji wstał pierwszy od stołu i poszedł do siebie.

Ja zwykle grywam jeszcze wieczorem w garibaldkę z moją ciotką, staruszką, ale tego dnia byłyśmy wszystkie jakieś zmęczone i postanowiłyśmy położyć się wcześniej.

Wstąpiłam jeszcze do kuchni, żeby wydać dyspozycje, kiedy do drzwi frontowych zaczęto się dobijać.

Służąca Kasia poszła otworzyć, a ja swoim zwyczajem podbiegłam pod drzwi Wolfa i zawołałam: „panie profesorze, stukają".

Zazwyczaj nie odpowiadał nic na te moje ostrzeżenia. Tym razem jednak odezwał się natychmiast: „Dobrze, zaraz schodzę". — Zupełnie jakby na kogoś czekał.

Przyszło ich pięciu, proszę pana; ale trzech tylko weszło do domu. Dwóch zostało w ogrodzie na warcie.

Na ogół znało się już twarze tych wszystkich Sokołów, Orłów, Dębów, Mścicieli... przedstawiali się zwykle, zachowywali się jak swoi. — Ci byli zupełnie nowi i widać było, że nie zależy im na przełamaniu wrażenia obcości.

Najstarszy z nich, pewnie dowódca, miał mundur polski. Bez odznak i bez dystynkcji, ale ruszał się jak typowy oficer, a w każdym razie, jak wyszkolony wojskowy. Wymowę miał twardą, trochę jakby poznańską, spojrzenie chłodne, nieufne, nieprzychylne. Pozostali dwaj w cywilnych kurtkach i długich butach, wyglądali raczej na myśliwych, niż na partyzantów. Obydwaj ciągnęli z lwowska i najwyraźniej źle czuli się w tej jakiejś narzuconej im sztywności, ale bali się szefa i chcąc nie chcąc naśladowali jego zachowanie. Wie pan, — od razu jakoś przykro zrobiło się. Bo inni, chociaż i zawszeni nieraz, i błota nanieśli do pokoju, to przecież jacyś weseli, otwarci. I pożartowali i pośpiewali i wiadomości jakieś przynieśli... Nawet i popili się czasem, a przecież szła od nich ta jakaś serdeczność... bo ja wiem? — No swoi, swoi.

A tu nie. Chłopaki na schwał, eleganccy, czyści, ogoleni, a takie to nastroszone, dziwne. Jakaś pretensja do nas, czy uraza, czy co? Zażądali kolacji. Niby to uprzejmie, a jednak też jakoś tak zimno, surowo. „Spróbuj no nie dać!" — Wie pan — to; to się wyczuwało w ich słowach.

Jak zwykle, cały nasz babiniec zebrał się w jadalni. Niby to żeby nie zostawiać mnie samej, a tak naprawdę to z ciekawości.

Na końcu, kiedy tamci już jedli, zjawił się Wolf. Przywitał się skinieniem głowy z daleka i usiadł na fotelu pod oknem. Na tamtym, o! — widać przez drzwi.

On proszę pana, taki zawsze ożywiony w czasie tego rodzaju wizyt, tym razem utkwił nos w książce i zdawał się tylko asystować z nudnego, towarzyskiego obowiązku. Tamci też nie zwracali na niego uwagi, tylko ów dowódca zatrzymał przez chwilę na jego pochłoniętej lekturą twarzy wzrok surowy i badawczy.

Kolacja upływała w głuchym milczeniu. Goście nie dawali do siebie żadnego przystępu.

Moja córka próbowała nawiązać rozmowę. — „Z jakiej panowie grupy?" — zapytała. Na to proszę pana, spojrzeli po sobie, a ten w mundurze odpowiedział pytaniem: „a pani poco ta wiadomość; dla parafii, dla gminy, czy do sztambucha?" Oczywiście po takiej odprawie zrezygnowałyśmy z wszelkich konwersacyjnych zapędów.

W ogóle, ten najstarszy kierował wszystkim, trzymał wszystko na sznurku i nie popuszczał ani na milimetr.

Wypili na przykład wszystkiego po kieliszku wódki. Otóż, kiedy jeden z cywilów sięgnął, żeby sobie dolać, tamten wziął mu karafkę z przed nosa i wręczył mnie, mówiąc: „proszę to odstawić, nie będziemy pić więcej".

No i tak siedzieliśmy. Tu oni, obcy, nieprzyjaźni, tu my, senne, niespokojne, a tam Wolf, pogrążony w swojej książce. To była, pamiętam, jakaś niemiecka książka o lodowcach Grenlandii.

Powoli wytworzyło się w tej sytuacji jakieś napięcie bardzo przykre, ogromnie przykre.

Czekałyśmy co z tego wyniknie i ogarniał nas lęk.

Zjedli wreszcie. I wtedy ten w mundurze zaczął się nam kolejno przyglądać. Jego zimne, brązowe oczy spoczęły w końcu na panu Wolfie. — „A pan... co pan właściwie tu robi?" — rzekł głosem podniesionym, jak gdyby chciał obudzić go z drzemki. Pan Wolf opuścił książkę na kolana i z pewnym wysiłkiem, ale bardzo spokojnie odpowiedział: „ja jestem nauczycielem prywatnym w tym domu".

Ale tamtym nie wystarczyła widocznie ta informacja. — „Czy pan nazywa się może..." — i tu wymienił jakieś nazwisko, którego nie potrafiłam zapamiętać... Ścigalski, czy Śmigielski — coś w tym rodzaju.

Wtedy dopiero, proszę pana, nieokreślony niepokój, który odczuwałam, skupił się wyraźnie wokół osoby profesora. Nie mogłam dostrzec jego twarzy, kiedy odpowiadał, bo znowu podniósł książkę do oczu, ale jego równy, zmęczony trochę głos, był w dalszym ciągu zupełnie opanowany. — „Nie ja nazywam się Wolf", odparł po chwili namysłu.

Nasi goście wstali nagle i zaczęli poruszać się po jadalni, jak gdyby nie zdecydowani, co dalej robić. Jeden z lwowiaków podszedł do mnie i kłaniając się niezgrabnie, dziękował za „miłe przyjęcie". Dwaj pozostali podeszli do pana Wolfa, który podniósł się z fotela i stał w pozie wyczekującej.

Usłyszałam jak dowódca mówił do niego: „w którym pokoju pan mieszka? Chcielibyśmy z panem pogadać na osobności". Ku mojemu wielkiemu zdumieniu Wolf odpowiedział nieoczekiwanym kłamstwem. „Ja mieszkam tu, w jadalni. Sypiam na kanapie".

Zrozumiałam, że już toczy się jakaś gra, której sensu nie mogłam pojąć.

— „No, pójdziemy chłopaki" — powiedział człowiek w mundurze, a kiedy zarzucili na ramiona swoje automatyczne pistolety, jeszcze raz zwrócił się do pana Wolfa: „A pan pozwoli z nami w takim razie".

Wtedy proszę pana, moja ciotka, osoba trochę nieobliczalna, podbiegła nagle do profesora i chwytając go za ramię zawołała: „niech pan nie idzie! Niech pan nie robi tego głupstwa. Czyż pan nie widzi, że to źli ludzie?"

Powstało małe zamieszanie. Trzej uzbrojeni mężczyźni obstąpili naszego profesora z groźnymi twarzami. On sam otrząsnął się niecierpliwie.

„Proszę się uspokoić!" — fuknął na ciotkę. Ta opryskliwość zrobiła na nas wielkie wrażenie, bo zawsze był bardzo uprzejmy i łagodny. — „Czy mam wziąć piżamę?" — spytał głośno i jakby zaczepnie. Tamci trzej wybuchnęli śmiechem. I nam też wydało się to bardzo dziwne, a mnie nawet wprost złowrogie. Odczułam w tym momencie coś, jakby dławiący przedsmak katastrofy. „Co wy panowie chcecie od tego człowieka?" — zapytałam wzburzona.

Pan Wolf był najwyraźniej zirytowany naszym zachowaniem. „Ja zaraz wrócę" — rzekł gniewnie, — „wszystko jest w porządku". Ci dwaj podchwycili skwapliwie jego słowa. — „Ta kobity, nie róbcież hecy. Onże zaraz wróci się. My tylko do komendanta pójdziem parę słów przemówić. Nie potrwa długo".

Wszyscy czterej skierowali się ku drzwiom. Jeszcze w przedpokoju pan Wolf odwrócił się ku mnie i rzekł z uśmiechem: „Proszę na mnie nie czekać. Zastukam w kuchenne okno, to Kasia mi otworzy".

Wyszli. Słyszałam jeszcze mruczenie ich głosów w ogrodzie, skrzyp furtki, prowadzącej na drogę...

Teraz zostałyśmy zupełnie same i nagle zrobiło nam się straszno. Kiedy ciotka odeszła wreszcie do swego pokoju, a my dwie krzątałyśmy się jeszcze koło nieposprzątanego stołu, córka podeszła nagle do mnie z twarzą bardzo bladą. — „Mamusiu, to było gestapo", — powiedziała.

Nie wiem proszę pana, czy to było gestapo. Tego do dziś dnia nikt nie potrafił wyjaśnić, ale ciotka moja miała rację, mówiąc, że to źli ludzie. Tylko zło pozostawia po sobie taki zimny niepokój, takie przerażenie.

Usiłowałam jednak zachować równowagę. Posprzątałyśmy naczynia, bo Kasia spała już dawno i ucałowawszy się na dobranoc, rozeszłyśmy się, każda w swoją stronę.

Ale ja nie miałam zamiaru się kłaść. Wstąpiłam do pokoju pana Wolfa, wzięłam z szafy parę jego podartych skarpetek i zeszłam do kuchni.

Monika, moja córka, była już tam. Przy małej naftowej lampce siedziała nad rozłożonym zeszytem, udając, że kuje jakieś chemiczne wzory. Usiadłam po drugiej stronie stołu i zabrałam się do cerowania. Nie mówiłyśmy ani słowa.

Budzik kuchenny klekotał nierówno, z alkowy dobiegało spokojne chrapanie Kasi. Noc za oknem była bardzo jasna, bardzo cicha. Bielone pnie drzew w sadzie świeciły przenikliwie wśród matowych cieni. Czasem pies zaszczekał koło stajen i wtedy podnosiłyśmy głowy, pełne lęku i nadziei.

Ja, proszę pana, często się boję. Tak często, że przywykłam już lekceważyć moje strachy. Inaczej z Moniką. Ona jest raczej lekkomyślna. Ale tym razem, to od niej szedł ten jakiś wiew paniki. Parę razy chciałam się do niej odezwać, ale z takim uporem odwracała ode mnie oczy, że nie śmiałam.

No i nagle, w chwili, kiedy nawlekałam nową nitkę, od okna rozległ się dobrze znany głos. — „Panno Moniko, proszę otworzyć!" Ten głos, wie pan, taki jak zawsze: spokojny, powściągliwy, a jednak, troszeczkę jakby podchodzący śmiechem. Poznałabym ten głos na końcu świata.

Doznałam wielkiej ulgi. Nareszcie! Położyłam moje cerowanie i spojrzałam w okno. Ale tam nie było już nikogo.

Moja córka stała tymczasem koło mnie, z oczyma rozszerzonymi, oddychając głęboko, jak po dużym zmęczeniu.

— No idźże otwórz! — przynagliłam ją niecierpliwie.

Bez słowa podeszła do drzwi kuchennych i uchyliła je bardzo ostrożnie. Ale zaraz zamknęła je znowu, zasuwając z hałasem żelazny rygiel.

— No co takiego? — spytałam.

— Nie ma go tutaj — odrzekła niepewnie.

— Na pewno poszedł do drzwi frontowych, idź zobacz.

A widząc, że się waha, wstałam sama i obie poszłyśmy przez ciemny kredens, jadalnię i salon. W ciemności ocierałyśmy się niemal o siebie i ja ze zdziwieniem spostrzegłam, że ramiona mojej córki drżą, jak od chłodu.

— Czyżby się kochała w tym chłopcu? — pomyślałam.

Pod drzwiami frontowymi też nie było nikogo.

— Widziałaś go? — zapytałam.

— Tak — odpowiedziała Monika, — zbliżył twarz do samej szyby.

— No to musi tu być, jakżesz?... „Panie Wolf! Panie profesorze, tędy, tędy!" — zaczęłam nawoływać. Ale tylko psy odpowiedziały mi ujadaniem.

Wtedy, drżąc na całym ciele i dzwoniąc zębami, ruszyłyśmy na obchód ogrodu. Nie potrafię panu opisać tego niesamowitego uczucia, tego obezwładniającego uczucia zupełnej bezbronności, które opanowało nas wtedy.

Próbowałyśmy sobie tłumaczyć, że on zniecierpliwiony poszedł znowu do kuchni, że może zgubił coś po drodze i wrócił, a za chwilę ukaże się w jesionowej alei... Ale proszę pana, wiedziałyśmy obie dobrze, że stała się rzecz straszna i że byłyśmy świadkami przerażającego zjawiska, w które nikt nigdy nie wierzy...

Pan też nie wierzy, prawda?

A to w pierwszej chwili wydawało się całkiem naturalne, zupełnie zwykłe.

Tak, przyszedł do nas, tak, jak obiecał.

A następnego dnia znaleźli go fornale w życie na wzgórzu, tam gdzie teraz stoi krzyż.

O jakie dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie leżał, zboże było zdeptane, stratowane... widocznie walczył. On był bardzo silny i odważny. Musiał się bronić. Ale twarz miał spokojną, nawet uśmiechniętą z lekka. Taki, wie pan, ledwo zaznaczony, jakby ironiczny uśmieszek.

Kula weszła w tył czaszki i lekarz, który przyszedł z policją twierdzi, że zgon nastąpił natychmiast.

Choć taka pociecha, mój Boże!

Pochowano go tam, gdzie padł w pośpiechu i prawie ukradkiem, bo wszyscy straszyli gestapem, żandarmerią... jak to w tych czasach.

Nasz skotarz przyniósł z obory taką deseczkę, jak to wiszą nad stanowiskami krów, z imieniem bydlęcia. Na tej, pamiętam, napisane było „Laura". I na tej deseczce, ostruganej i wygładzonej, administrator od Korowiczów napisał „Wolf". Pewnie jadąc, widział pan to epitafium. „Wolf" — to była suma personaliów tego nieszczęsnego chłopca

W jakiś czas potem, zaczęły krążyć po okolicy najsmutniejsze pogłoski i domysły na jego temat.

d. c. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Ostatnio w wielu pismach ukazują się raczej nieprzychylne wzmianki o moich wypowiedziach publicystycznych. Intencją ich, o ile można wnosić z tonu i poziomu argumentacji, jest raczej dokuczenie mi i zniechęcenie, niż uczciwy spór. Częstość tych wzmianek można by zobrazować, o ile to tylko wypada, popularnym powiedzeniem, że jeżdżą po mnie, jak po łysej kobyle.

Powiedzenie to jest o tyle pożyteczne, że pozwala mi określić bliżej naturę i charakter tych, co po mnie jeżdżą. Skoro bowiem zadaję sobie pytanie, kto zacz są oni to żadną miarą nie mogę w nich dojrzeć rozropności, zręczności, śmiałości, wyrobienia doświadczonych jeźdźców

Przyjrzyjmy się listowi p. Lichniaka w „Dziś i Jutro" (Nr 16). Pisze on: „Kiedy (Jakimiak) gardłował za p. Majdańskim, nie wtrącałem się, bo w sprawach, które omawiał jestem ignorantem". A czegóż to potrzeba w tych sprawach? Jakiej nauki? Potrzeba tu tylko trochę rozróżnienia dobra i zła, czyli moralnego nosa. Nie trzeba się wiele chyba znać na rzeczy, żeby być w stanie osądzić, czy wolno zabijać dzieci? Ale p. Lichniak jest ignorantem w tych sprawach. Ha, trudno, niewiadomo, czy on sam temu winien.

Drugie ukłucie. „Dziwi się" mojej „wszechstronnej erudycji", ale w porę sobie przypomina, „że obok dyletantów są i encyklopedyczne umysły". W tym chytrym zdaniu znowu mamy przestrogę przed dyletantem (którym mogę być), równie jak i przed encyklopedystą (którym prawdopodobnie jestem). W obu wypadkach jestem godny pogardy, boć dyletant jest płytki, a encyklopedysta, który tylko rejestruje wiadomości, pozbawiony jest sądu.

I tu leży dylemat. Nie wolno jest pisać na kilka tematów, bo cię zaraz nazwą po imieniu. Nie wolno też pisać na jeden temat. Majdański pisze tylko w obronie dzieci. Jest w tej dziedzinie bezprzykładnym specjalistą. Argumenty jego są nieodparte. To też jest on „maniakiem", z którego można tylko szydzić. Nie wolno zatem być specjalistą, bo się jest jednostronnym maniakiem i nie wolno być wszechstronnym, bo się zostanie pogardzanym dyletantem. Otóż jestem innego zdania, którego nie łatwo byłoby mi wyperswadować. Oczywiście, jeśli kto się na niczym nie zna, jeśli kogo nic nie obchodzi, to lepiej niech nie pisze. Ale jeżeli ja np. pasłem przez 10 lat krowy, to już mogę coś napisać nie tylko o krowach, ale i np. o psychologii pastucha. Jeżeli wyczyściłem licząc sumarycznie kilkanaście stajni, obór, chlewów i strzęsłem kilkaset fur gnoju, jeżeli zaorałem kilkaset hektarów i zasiałem, skosiłem, wymłóciłem kilkaset ton ziarna, to mogę coś napisać na te i pokrewne tematy i to napisać prawdziwie, t. zn. z korzyścią dla czytelnika. Jeżeli śpiewałem pięć lat w dobrym chórze, a na koncerty chodziłem przez lat kilka po parę razy w tygodniu, analizując w dodatku szczegółowo tak swoje przeżycia, jak i słyszane utwory, to mogę o muzyce coś powiedzieć, a przynajmniej mogę mieć uzasadniony sąd w rzeczach muzyki. Jeżeli przez dwadzieścia lat studiuję filozofię, to i tu mogę coś niecoś wtrącić zwłaszcza, gdy chodzi o jakieś nowości. Jeżeli cały rok spędziłem w Luwrze i w innych muzeach i starych kościołach Francji, to i w plastyce mogę mieć swój sąd samodzielny. Jeżeli przez kilkanaście lat studiowałem nauki przyrodnicze, to i na ten temat coś wiem i byle kto nie zawróci mi głowy. Jeżeli przez trzydzieści lat rozczytuję się w arcydziełach światowej literatury, to i tu mogłem sobie coś wybrać i nabrać jakiegoś gustu. Tak, p. Lichniak, człowiek może się niezmiernie dużo nauczyć, ogromnie rozwinąć i byle się nad każdym swoim przeżyciem samodzielnie, to jest krytycznie, analitycznie zastanawiał. I wtedy, sądzę, ma prawo pisać o wielu rzeczach.

Zarzuca mi p. Lichniak, choć co prawda na samym końcu, że nie mam talentu. Nigdy go u siebie nie podejrzewałem. Byłem tylko zdania, że pisać powinni nie tylko t. zw. utalentowani. Do tego zajęcia powinno się coś i umieć, powinno się mieć przy tym i jakieś szersze cele na oku, nie tylko zarobek. Uważałem, że i zwykły człowiek powinien się móc wypowiedzieć. O tym, jak on pojmuje wszechświat, moralność, piękno, co sądzi o tym, co mu dają uczeni, politycy, moraliści, artyści, bo przecież on im za to wszystko płaci, on na nich ciężko pracuje. Ja jestem człowiek zwyczajny, pracowałem ciężko w życiu, ale do głowy mi nie przyszło pisać, choć wiele rzeczy mnie interesowało. Nigdy by do tego nie doszło na pewno bym teraz sadził winorośl i hodował bydło, gdyby ludzie z talentem pisali rozsądnie, pięknie, uczciwie. Oburzyłem się jako czytelnik. Jakąż to, myślę sobie, dają nam filozofię, moralność, sztukę? I tak się zaczęło. Ale do talentu pretensji nie mam. A to, co mój rozsądek i sumienie mi dyktują, zawsze jakoś i bez talentu napiszę.

Ale to wszystko jest zaledwie wstępem, koniecznym dla odparcia zarazy, jaka się mieści w początkowych ukłuciach mego przeciwnika. Opowiedzenie prawdy jest najlepszą metodą na podejrzenia i insynuacje. Teraz następuje atak główny.

Tytuł listu p. Lichniaka brzmi „Rzetelność Publicystyczna". Głównym więc zarzutem przeciw mnie jest nieuczciwość. Podstaw do uczciwości publicysty dostarczył autorowi Słonimski. Miałem, co prawda znacznie lepszych mistrzów i moralności i pisania, ale i na te prawa się godzę, bo są słuszne. Zarzuca mi więc najpierw nieprzyjaciel, że nie spełniłem warunku znajomości przedmiotu. Otóż ten zarzut, do którego zresztą sam się przyznałem, można postawić każdemu. Nie ma uczonego, nie ma specjalisty, który by zupełnie znał to, o czym mówi. P. Lichniak sam znacznie mniej operuje tą swoją wiedzą, w której, w przeciwieństwie do dzieciobójstwa, uważa się za speca, literaturą. W ogóle poza jednym Słonimskim, nikogo nie cytuje. A ja powoływałem się na wiele nazwisk, epok (co prawda sporo mi Redakcja ucięła). Kto więc jest uczciwszy w tym jednym względzie?

Dalej. Dalej nasuwa się podejrzenie, że mój miły nieprzyjaciel trochę przesadza, gdy nas zapewnia, że czytał aż dwa razy (2 razy) mój artykuł. A jeżeli go i czytał, to zupełnie zapomniał przy pisaniu swego listu. Inaczej nie pytałby: „co zrobi p. Jakimiak, gdy ktoś zapyta o dowody na to, że talent to nic", „Wiśniewski jest postacią przesadzoną, bo wymyśloną" itd. Każde zdanie takie było przecież udowodnione, poparte przykładami, argumentami, słowem, zrobiłem, co tylko było w mej mocy, czyli zupełnie zgodnie z przykazaniem Słonimskiego. Co więc znaczy to pytanie? Czy nie to, że p. Lichniak się kompromituje? Bo albo ja pisałem niezrozumiale, albo mój przeciwnik nie ma zdolności rozumienia. A w takim razie nie powinien mówić o logice, o „przemyśleniu myślowym". A może dziś jest jakaś inna logika. Skoro się nie uznaje jakiegoś dowodu, to się zarazem wykazuje dlaczego. Stanowczo nieudany adwersarz.

Prawda. Usiłuje on wykazać brak logiki u mnie na jednym przykładzie. Robi to jednak tak niejasno, że dobrze się nameczyłem, nim zrozumiałem, o co mu chodzi. Opowiem więc to lepiej po swojemu. W jednym miejscu mego artykułu powiadam, że Wiśniewski jest postacią papierową, która w życiu nie istnieje. W innym zaś miejscu sam siebie za Wiśniewskiego uważam. Zdezorientowany Lichniak pyta ze zdziwieniem: więc jakże z tym Wiśniewskim, istnieje on, czy nie? Trudność na pozór nie do wyjaśnienia. A przecież szeroko to tłumaczyłem w atakowanym artykule, tak jasno, że żaden z czytelników, a spośród nich wielu znacznie bystrzejszych od mego nieprzyjaciela (nie ubliżając mu), nie dostrzegło tej trudności. Dla czystości sumienia publicysty spróbuję mu to wyjaśnić na najgrubszym przykładzie.

Przypuśćmy, że mieszczuch, który nigdy nie był na wsi, pojechał tam kiedyś i zobaczył krowę, a po przyjeździe opowiada o niej mieszczuchowi, który również nigdy tego zwierzęcia nie widział. Dajmy na to mówi mu: widzisz krowa to takie zwierzę na czterech nogach, z rogami i z ogonem. Słuchacz, jeśli jest krytyczny, może zauważyć sprzeczność między ogonem i rogami i może w istnienie krowy nie uwierzyć. Jeśli zaś jest łatwowierny to, po napotkaniu np. kozy, owcy, lub jelenia, ucieszy się, że zobaczył wreszcie krowę. To jest przykład na rolę abstrakcji. Zagadnienie z logiki i psychologii. Jest to stary, dotąd nieskończony spór o uniwersalia. Trzeba trochę poznać i filozofię. Otóż odpowiedź na trudność jest prosta: Wiśniewski istnieje i nie istnieje. Istnieje jako ograniczony zbiór pewnych cech, dobranych i złączonych przez wyobraźnię Żukrowskiego. Abstrakcja mająca odpowiedniki w każdym katoliku i dlatego każdy w nim pozna siebie. Nie istnieje w życiu, bo najbardziej ograniczony człowiek jest nieskończenie bogatszy duchowo od niego. To kukiełka z papieru. Stąd wielka szkodliwość abstrakcji, która okropnie upraszcza, zubaża rzeczywistość. Czytelnik także uogólnia, mówiąc: wszyscy katolicy są tacy. Naprawdę zaś nie ma ani jednego takiego. I Lichniak uogólnia i wykazuje zupełnie ignorancję, gdy powtarza: „po gardzają (Żukrowski, Kurzyna i Lichniak oczywiście, katolikiem papierowym, katolikiem naskórka, metryki, rozmiłowania (metryce?) w zewnętrznych objaw „ach dewocji" Ten pogląd uważa przeciwnik za podstawowy, bo grubo podkreśla to zdanie. Tymczasem, acz powszechny u naszych powierzchownych intelektualistów, jest to pogląd po prostu fałszywy. Najcenniejszym katolikiem jest ten właśnie, który jest rozmiłowany w zewnętrznej dewocji. Zewnętrzność jest tylko wyrazem wnętrza. Abstrakcyjny ten pogląd odstrasza od praktyk w ogóle. „Wyższy" katolik utrzymuje, że on się pomodli najlepiej bez słów, na spacerze, w lesie itp. Naprawdę, że w ogóle się nie modli, wstydzi się żegnać. Konkretny zaś katolik wyjmuje różaniec w pociągu i modli się publicznie. Owszem i między takimi są grzesznicy. Ale kto na nich rzuci kamieniem pogardy, ten jest gorszy od ewangelicznych faryzeuszów. Taki czytelnik, bezkrytycznie czytający Żukrowskiego gotów rzec, że grzechy te są wywołane zewnętrznymi praktykami. Takie wnioski wprost narzucają się przeciętnemu odbiorcy. A tymczasem zwykły, przeciętny katolik, to właśnie ten, który nie praktykuje, który się nie modli i takich jest większość i trzeba im współczuć i pouczać. Wątpię, czy i teraz mnie Lichniak zrozumie, ale dość.

Nieprawda też, że wytykałem Żukrowskiemu głównie pogardę dla katolików. Głównym moim zarzutem była banalność. Powyższe bowiem poglądy na praktykę, zewnętrzności łączenie tego z nicością wewnętrzną, są powszechne a więc banalne. Równie banalny jest erotyzm Jedno i dugie fałszywe, płytkie, szkodliwe. Wołałem o trochę oryginalności i wysiłku.

A, ba, kiedy Lichniak i tę dbałość o czystość nazywa i piętnuje z pogardą. To uraz powiada. Nie określa. Jak on rozumie uraz. Można się tylko domyślić, że wiąże go z żywością reakcji, z zacietrzewieniem, jak się wyraża. Jeśli więc np. będę zwalczał gwałtownie morderstwo, to będzie to uraz. Jeśli będę polecał miłość bliźniego — każdy może mnie wytknąć jako przykład urazu. Jeśli będę biegał szybciej od innych, Lichniak powie, że mam uraz. Tego typu ludzie wierzą w magiczną władzę terminów, jak dzicy w amulety. A wszystko to pochodzi z braku śmiałości umysłowej i z braku analizy.

Gdybym sobie mruczał coś pod nosem, wtedy Lichniak na pewno by nie pisał o urazie. W ogóle nic by nie pisał o mnie. I ja pisałbym niepotrzebnie. Ale, ponieważ piszę wyraźnie, jasno i z przejęciem, jak wypada ze względu na temat i oburzającą ignorancję piszących, wtedy się to nazywa jak najpaskudniej, żeby osłabić wrażenie. Szlachetności w tym nie ma, a rozsądku tyle tylko, ile podstępnej chytrości.

Tytuł listu Lichniaka przytaczałem. Oskarża mnie on o nieuczciwość. Jakież jest pojęcie uczciwości u Lichniaka? Po co pisze swój list? Ażeby na to odpowiedzieć należy zapytać, po co ja pisałem mój artykuł. Cel jego był jasny. Protest przeciw ośmieszaniu rzeczywistości, uogólnieniu fałszywych pojęć, z jednej strony; z drugiej zaś chciałem wreszcie odsłonić prawdziwe oblicze pornografii. Zdaje mi się, że dość jasno wykazałem, że erotyzm w literaturze nie ma nic wspólnego w odczuciami estetycznymi, ale wynika tylko z ulegania niskim popędom. Popędy te nazwałem. Dochód pornografia z jego książek nie różni się moralnie od dochodu alfonsa, czy właściciela lupanaru. To samo stręczenie, te same motywy, wygrywanie tych samych niskich przewrotnych instyktów. Zamierzałem oddziałać na pisarzy, choć trochę, choć na katolickich, żeby się zmienili. Nie mam co prawda większej na to nadziei.

Z. Jakimiak.

POLICHROMIA MARIACKA MATEJKI.

Kiedy jeszcze jako uczeń przyjechałem po raz pierwszy z Warszawy do Krakowa kościół Mariacki zrobił na mnie niezwykłe wrażenie. Spośród zabytków starego Krakowa utkwił mi najmocniej w pamięci. Kolorową wizję wnętrza Mariackiego zabrałem i powiozłem ze sobą na obczyznę do Paryża i długo była mi wspomnieniem Polski.

Kolorystyka chórów anielskich, którymi Matejko zapełnił ściany prezbiterium kościoła Mariackiego, została związana z błękitami i złoceniami ołtarza Wita Stwosza oraz barwnymi jak kilimy perskie witrażami, w przepiękną artystyczną całość. Pamiętam w jakim podniosłym nastroju przesiedziałem o zmierzchu w stallach kościoła, zapatrzony w rozgrywające się w ciszy przede mną, a może w duszy mojej, przedziwne misterium.

Matejko mieszkał na Floriańskiej, w zasięgu kościoła Mariackiego. Słyszał dzwony jego i hejnał i jak godziny wybijaja na wieży. Rozumiał i odczuwał jak rzadko kto nastrój średniowiecznej mistyki. Nad przyozdobieniem kościoła pracował ożywiony żarem patriotyzmu i ducha religijnego. Przepełniało go uczucie miłości tradycji i kultury narodowej. Jego chóry anielskie — jakby w kolory zaklęte pienia psalmowe — przypominają kolorystykę wsi i ludu naszego z pawimi piórami i kolorowymi wstążkami. Wydobywa ją Matejko z najgłębszych warstw estetycznej wrażliwości duszy polskiej. I oto dlaczego odczuwamy ją wszyscy jako coś nam bardzo bliskiego, tak jak muzykę Chopina i tak jak on oczarowuje nasze dusze.

W XVII stuleciu pracuje nad upiększeniem niektórych kościołów krakowskich Tomasz Dolabella, sprowadzony z Włoch na dwór królewski, epigon świetnych kolorystów weneckich Tintoretta i Veronesa. Liczne obrazy jego na tematy z historii polskiej, między innymi przedstawiające tryumfy hetmana Żółkiewskiego, zdobiły pokoje wawelskie. Kaplicę św. Jacka u Dominikanów ozdobił aniołami. Anioły są piękne. Wykonane są z artystyczną wytwornością i ciepłem kolorystyki weneckiej. Są jednak inne jak polskie anioły. Nie mają swojskości ani tego polskiego sentymentu, jakimi pod względem charakteru i tonacji barwnej odznaczają się anioły Matejki.

Aniołowie są zwiastunami tajemnic bożych. Przynoszą i wnoszą ze sobą nastrój tajemniczości i modlitewnego skupienia. I gdy budowano w Jerozolimie świątynię Salomona, ozdobiono ją cherubinami. Na ścianach z cedrowego drzewa, przywiezionego z Libanu, snycerze tyrscy wyrzeźbili cherubinów i drzewa palmowe. Ale najpiękniejsze przekazy o aniołach podaje nam Ewangelia. A z najpiękniejszych z nich — o narodzeniu Bożym u św. Łukasza — powstają wyśpiewane w duszy ludu naszego przecudne polskie kolędy. Mamy i własną legendę, jak Piast gościł aniołów nad modrym Gopłem. Sztuka powinna być poczęta, jak to wyprowadza Norwid w promethidionowych dialogach, z ducha narodu. Sztuka polska powinna być zgodna z naturą rzeczy polskiej. Do tworzenia takiej sztuki wzywa Norwid i taką jest polichromia anielska Matejki.

Wnętrze kościoła Mariackiego jest teraz odnawiane. Prace w prezbiterium zostały zakończone. Litania aniołów wypadła doskonale. Zachowano patynę Matejkowską i z pietyzmem zakonserwowano delikatne naloty pyłów kolorowych. Natomiast polichromia żebrowań i architektonicznych ornamentów przedstawia się w stosunku do niej rażąco. Kłóci się z nią i obniża wartość całości.

Obecnie przystąpiono do odnawiania nawy głównej. Polichromia jej nie posiada większej wartości artystycznej. W jednym z numerów Tygodnika Powszechnego p. Marcin Zawadzki zastanawia się nad tym, czy należy ją konserwować. Jest negatywnego zdania i rzuca projekt, ażeby wnętrzu przywrócono widok stanu pierwotnego. Jako przykład podaje renowację w Krakowie, już w czasie wojny, kościoła Bożego Ciała, pochodzącego z fundacji Kazimierza Wielkiego. Z pod odrzuconego tynku, ukrywającego przed naszymi oczami piękności średniowiecznego gotyku, ukazało się piękno starej budowli. Dobrze byłoby odsłonić i gotycką strzelistość świątyni Mariackiej i pokazać oryginalne perspektywy gotyckiej architektoniki. Kamienne filary, żebra, łuki i arkady, zapadłe pod warstwą tynku i farby jakby w sen letargiczny, obudziłyby się i odezwały do nas językiem średniowiecznej kamiennej poezji. Ukazanie zdobniczych elementów konstrukcyjnych bynajmniej nie wyklucza zastosowania polichromii. Skomponowana w tonach szlachetnych i przy odpowiedniej tematyce tworzyłaby na szarobiałym tle kamiennych ciosów estetyczną ozdobę. Pewnym sprawdzianem w tym względzie może być katedra wawelska z pozostałością starych fresków.

Wecław Świeżawksi.

Nowość! Nowość!

PISMO ŚWIĘTE

Nowego Testamentu

Wstęp, nowy przekład z Wulgaty komentarz

przez

Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego

Wydanie podręczne

Albertinum

Księgarnia św. Wojciecha

Poznań-Warszawa-Lublin

Następny numer

„DZIŚ i JUTRO"

poświęcony będzie omówieniu twórczości laureatów nagrody

im. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel 880-71. Konto P.K.O. – Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca **Kolegium Redakcyjne**

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-60030